OPŁATA POCZTOWA UISZCZONA RYCZAŁTEM.

Numer pojedyńczy Mk. 1.800.000.

ŚWIAT

PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE.

Rok XIX. WARSZAWA. Dnia 8 marca 1924 r. № 10.

HUMOR ZAGRANICZNY.

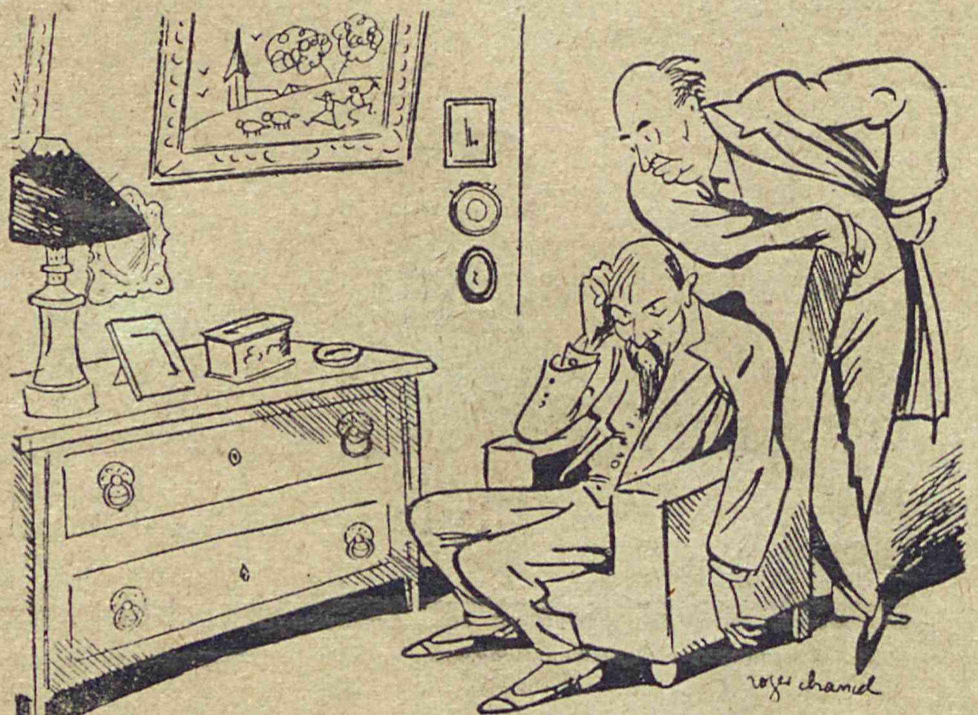


U FOTOGRAFA.

— Co będzie kosztować fotografja moich dzieci?
— Tuzin — 40 franków.
— Ja mam dotąd tylko ośmioro. W takim razie muszę zaczekać parę lat, może zbierze się tuzin... („Excelsior“).



— Mamusiu, o której godzinie ja przyszłam na świat?
— O dziesiątej wieczorem, córeczko.
— Mamusiu, co ty mówisz? Ja przecież o 8-ej już zawsze śpię!.. („Punch“).



— Biedny przyjacielu! Stracić żonę po piętnastu latach pożycia! To okropne!
— Tak. Zwłaszcza, że już zacząłem się do niej przyzwyczajać. (Le Rire).



LITOŚCIWA DUSZA.

— Wam każdy przechodzień coś da. A ten biedny piesek ma tylko mnie na świecie. („Le Rire“).



— Nie sądziłam nigdy, żeby ten ich flirt skończył się małżeństwem.
— On myślał zapewne tak samo... (London Opinion)

Cena niniejszego numeru Mk. 1.800.000.

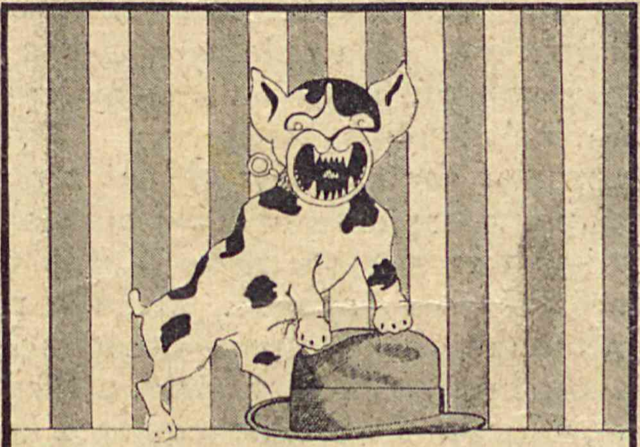
ŚWIAT

Rok XIX. № 10 z dnia 8 marca 1924 r.

Wydawcy: Akc. Tow. Wydawnicze „ŚWIAT". Pod kierownictwem naczelnem Stefana Krzywoszewskiego.







Zagadnienie Kresów Wschodnich.

Wraz z podpisaniem traktatu ryskiego skończył się okres naszych wielkich aspiracji na Wschodzie. „Górna i chmurna" polityka ówczesnego naczelnika państwa spotkała się ze sprzeciwem tej myśli politycznej, jaką reprezentowała większość stronnictw sejmowych, i przedstawiciele owych stronnictw zlikwidowali w sali „Schwarzhäupterów" po długich z p. Joffe przetargach zbyt daleko sięgające ich zdaniem sny o wyzwoleńczej misji Polski, zastępując je programem dużo prostszym — programem zysków realnych. Rzeczpospolita uznawała dwie fikcje bolszewickie: sowiecką Ukrainę i sowiecką Białoruś, okupując w ten sposób „spokojne" posiadanie kawałka ziem wschodnich, który strawić istotnie i wchłonąć państwowo była w stanie. Tak się przynajmniej zdawało głównym inspiratorom traktatu ryskiego, tak się zdawało i społeczeństwu polskiemu, które oczekiwało, iż w stosunku do Kresów uczynione zostanie wszystko, by je z całością Rzeczypospolitej organicznie związać i zjednoczyć.

Że społeczeństwo polskie pomiętało jeszcze wszystkie sposoby, stosowane na tychże ziemiach ongi przez rząd moskiewski, sposoby równie brutalne, jak głupie i bezowocne — powszechne było przeświadczenie, że moralna i polityczna inkorporacja Kresów Wschodnich dokonana być może jedynie przy pomocy metod zasadniczo od tamtych moskiewskich—odmiennych, tak odmiennych, jak różną jest łacińsko-słowiańska dusza Polski od bizantyńsko-tatarskiej psychiki rosyjskiej. Oczekiwaliśmy też wszyscy zastosowania do rządzenia Kresami najwyższego administracyjnego wysiłku i jednocześnie tej mądrości państwowej, jaka na terenach o ludności mieszanej szczególnie musi być przewidującą i rozważną, by konsekwencją swą i planowością zastąpić ciężki zawsze przymus, albo przynajmniej odebrać mu charakter głównego czynnika w stosunku do ludności, której — co to ukrywać — należy przecież zdobyć i zaufanie i sympatję.

Są bowiem Kresy Wschodnie mieszaniną etniczną, są zasiedlone przez przedstawicieli kilku plemion, z któremi Polska w żadnym razie pozostawać nie może w jakiejkolwiek walce, lecz musi znaleźć sposób zamienienia ich w życzliwych i lojalnych państwa obywateli. Dużo się pisze o tem, że Kresy Wschodnie—to strategiczne przedpole na wypadek zawsze możliwej wojny od tej strony. Przedpole to ma istotnie ogromną wartość, ale jedynie pod warunkiem, że wszelkie operacje wojskowe nie spotkają się na niem z negatywnym stosunkiem mieszkńaców, lecz że przeciwnie mieszkańcy ci sprzyjać będą, a nawet współdziałać z armją polską... Ten jeden wzgląd sam przez się przesądza już, zdawałoby się, te wytyczne, jakiemi kierować się powinna na Kresach nasza polityka administracyjna, kulturalna i ekonomiczna. Winna ona dążyć do tego głównego efektu, by w świadomości mas tam mieszkających—wyrosło i utrwaliło się mocno przeświadczenie, iż nowa przynależność państwowa dała im niewątpliwe i wszechstronne korzyści i zapewniła partycypowanie w pełni praw obywatelskich narówni z innymi mieszkańcami Rzeczypospolitej.

Zdrowy rozsądek, ten największy mistrz w dziedzinie polityki, notabene o ile mu towarzyszy etyka, wystarcza, by odpowiedzieć na pytanie: jakiemi mają być nasze rządy na Kresach. Muszą one być takie, aby utwierdzić w lojalności dla Polski inoplemiennych nawet mieszkańców tych ziem nie siłą pięści, rzecz prosta, bo pięść nie jedna i nie przekonywa—lecz siłą ładu, organizacyjnej sprawności, zapobiegliwości gospodarczej, praworządności i oddziaływań kulturalnych. To wszystko razem wzięte może dopiero państwowość polską a z nią polskość samą dla inoplemieńczej a w dużej części i inowierczej ludności Kresów uczynić atrakcją, którąby pociągała i zarazem budziła szacunek.

Daleki jestem od mniemania, by podstawą poważnych funkcji państwowych w jakiejkolwiek dziedzinie mogło być kokietowanie kogokolwiek... Nie o to tu też idzie, lecz o niewątpliwą konieczność ze strony Polski pogodzenia na Kresach swoich najwyższych interesów państwowych z potrzebami, istotnym interesem i indywidualnemi odrębnościami grup plemiennych, zamieszkujących te przestrzenie. Raju materjalnego wobec wichrów wojennych, jakie trzy razy przeszły, pustosząc, przez Kresy—ludziom żyjącym tam, rzecz prosta, stworzyć niepodobna, lecz można istnienie ich uczynić znośnem lub nieznośnem, wnieść w nie pierwiastek spokojnej wiary w Polskę albo malkontencji, wzbudzić poczucie troskliwości państwowej o ich byt lub wrażenie, iż byt ten stale jest lekceważony, można zaszczepić przekonanie o trwałości panowania polskiego lub też, przeciwnie, nauczyć uważać je za przypadkowe i przejściowe. To są alternatywy, przed któremi w naszych rządach na Kresach Wschodnich stoi polski rozum stanu.

I ten polski rozum stanu ma niewątpliwie poważnych, szczerze idei państwowej oddanych przedstawicieli w osobach ludzi, pozostających na czele naszej administracji w województwach kresowych. Ale aparat cały, jakim rozporządzają ci polscy wielkorządcy, nie jest dotychczas doskonały, a i skład osobisty administracji—jak słychać zewsząd—w dużej części wiele zostawia do życzenia. Brak jej—jak stwierdzają zgodnie znający te stosunki—zwartego, jednolitego planu w zarządzaniu Kresami, planu, który opracowany może być tylko przez władze naczelne Rzeczypospolitej, począć się jednak musi z ogólnego zorjentowania się w tej sprawie całej myślącej części polskiego społeczeństwa. W demokratycznym ustroju państwowym władze właściwie precyzują tylko w swych zarządzeniach tendencje dojrzałe albo dojrzewające w świadomości powszechnej.

I oto chociaż późno, świadomość ta w zakresie zagadnień kresowych śród ogółu naszego się pogłębia. Od dłuższego już czasu pracuje w tym kierunku prasa, poszczególne ugrupowania pojęciowe i poważne ośrodki myśli państwowej, śród których szczególnie się wyróżnił dzięki dwóm wielkim wieczorom dyskusyjnym, Kresom poświęconym—Klub Polityczno-Społeczny, będący dziś zbiornikiem prawdziwej inteligencji politycznej. Debaty, przeprowadzone tam w sprawie naszych ziem wschodnich, miały wysoki poziom i przeniknięte były gorącą chęcią zbudzenia ogólnej czujności w tym kierunku, choćby w terminie ostatnim... Bo niewątpliwie czasu już niema do stracenia, sytuacja na Kresach zagmatwała się ogromnie i sanacja panujących tam stosunków stała się więcej, niż konieczna. Administracja, szkolnictwo, sądownictwo, cały stosunek do elementów niekatolickich i niepolskich wszystko to wymaga bardzo znacznych korektyw. Nasza granica wschodnia została uznana przez Europę—to prawda, ale uczynić ją niezłomną i stałą jest w stanie tylko możliwie rychłe uporządkowanie życia Kresów w ten sposób, by wszelkie aspiracje odśrodkowe straciły tam grunt podatny.

Polityka nasza na Kresach, jak słusznie stwierdzono już, może być tylko *polska*, to znaczy, że dobro Polski przedewszystkiem musi mieć na widoku. Pytanie tylko, jakiemi ma do tego bezspornego celu podążać drogami. I nad tem trzeba by się raz jeszcze zastanowić. Z tego zastanowienia bowiem dopiero nowy plan działania tam może wyniknąć. Musi on objąć wszystkie dziedziny państwowego i społecznego życia, bo w każdej z nich na porządku dziennym są zjawiska, których w żadnym razie dłużej tolerować nie sposób. Szkoły powszechne w dużej swej części z powodu braku opału w zimie nieczynne, nauczyciele przeflancowani z drugiego końca państwa, obcy zupełnie warunkom miejscowym i miejscowej ludności, urzędnicy licho uposażeni, nie mający gdzie mieszkać i zbyt często pozbawieni tych wartości moralnych, jakie konieczne są, by władza miała powagę nie-

zbędną, sędziowie zbyt nieliczni i wskutek tego procedury sądowej przewlekłość, brak bezpieczeństwa i bandytyzm, jawnie prosperujący w pasie pogranicznym, a nawet w głębi kraju, bezplanowość w parcelowaniu majątków ziemskich i najfałszywiej postawiona sprawa osadnictwa, dająca więcej podrażnień, niż pożytku, szmuglerstwo demoralizujące ludność w powiatach do Rosji przyległych, uciążliwy regime policyjny, krępujący życie w każdym względzie, nieprzezorny częstokrotnie stosunek do aspiracji narodowościowych i potrzeb religijnych niepolskiej ludności, słabe i nieudolne wyzyskanie samorządów i brak samorządów wojewódzkich, gdzie jedynie poważne czynniki polskie dojść mogą do głosu, brak należytego wysiłku w kierunku odbudowy miejscowości zniszczonych i wogóle niedostateczne uwzględnienie ciężkiej sytuacji ekonomicznej Kresów—oto w grubym zarysie stek braków, o które ze wszech stron oskarżają dziś nasze rządy na Kresach.

Braki te łatwiej wytknąć, niźli je naprawić, wiele z nich zostaje bowiem w związku z ciężkiem jeszcze na razie finansowem położeniem Polski i póki ono trwa, nie wszystko da się zmienić dość rychło na lepsze. W wielu kierunkach jednak do sanacji stosunków obecnych na Kresach wystarczy dobra, przemyślana wola, skrystalizowana w program działania jasny i spoisty. Powszechnem jest mniemanie, iż program taki opracowany i przeprowadzony być może jedynie przez powstanie specjalnego ośrodka kierowniczego, niejako centralnego mózgu politycznego dla sterowania naszą akcją kresową. Stąd mówi się już długo o powołaniu do życia dla tych funkcji odrębnego podsekretarjatu stanu. Czy projekt ten do skutku dojdzie i kiedy—wiedzieć trudno. Tymczasem chciałbym zwrócić uwagę na dwa czynniki, pomniejszające bezsprzecznie nasze wpływy na Kresach. Pierwszy — to upadek aktywności społecznej polskiego ziemiaństwa. Drugi — to walki polskich partji politycznych, na tym terenie będące wprost przestępstwem.

Pod moskalem żyć było Kresom ciężko, ale jednak polska nadzieja i wiara przetrwały te czasy najtrudniejsze — przetrwały je w niema'ym stopniu dzięki temu, że był, trwał, promieniował narodowo, moralnie i kulturalnie dwór polski i wszystko co lepsze widziało dla się w promieniowaniu tem spełnienie obowiązku i zasługę. W tej chwili ziemiaństwo nasze na Kresach Wschodnich popadło w stan marazmu. Wojna i przejścia powojenne i groza wywłaszczenia odebrały mu całą tę ufność w jutro, która jedynie sprawia, iż ludzie nie żyją z dnia na dzień wyłącznie, byle przeżyć, byle związać koniec z końcem w rachunkach, byle wyciągnąć jeszcze, co się da, póki to wogóle możliwe. Ziemiaństwo kresowe wygląda dziś, jakgdyby było w likwidacji. Likwidacyjne też panują w dużej jego części nastroje. Nie sprzyja to jakiejkolwiek działalności społecznej, rzecz prosta, i potomkowie dzielnych kresowych rycerzy i niedawni dziedzice ich pięknej tradycji po raz pierwszy stoją na uboczu bezczynnie wobec spraw i zagadnień, którym przez lat dziesiątki oddawali myśl i siły. To trzeba bowiem przyznać, że ziemiaństwo na Kresach było tam rzeczywiście ostoją polskości i czynnikiem narodowo-twórczym. Dzielnie sekundowała im po miastach inteligencja zawodowa, z ziemiaństwem owem zresztą ściśle zrośnięta. I w tem była siła naszych wpływów.

Dziś wszystko zwala się na urzędnika... Fatalne nieporozumienie... W najlepiej nawet zorganizowanych państwach — władze i środki rządowe nie mogą zastąpić inicjatywy i wysiłków społecznych, nie może to mieć miejsca i na naszych kresach. Dlatego to niemałą wartość przedstawiała dla idei polskiej na tych ziemiach w pierwszych latach naszej niepodległości t. zw. Straż Kresowa, instytucja szczerze przejęta duchem obywatelskim, która jednak pod koniec znalazła się w pożałowania godnym antagonizmie do czynników rządowych, zwalczając je w sposób demagogiczny niekiedy. Demagogizm—to wogóle w życiu Kresów niebezpieczna trucizna. Rozkłada on zupełnie orjentację prymitywnej ludności. Stąd niema chyba nic dla sprawy polskiej szkodliwszego, jak, posługujące się demagogicznemi metodami zawsze, współzawodnictwo stronnictw politycznych, ubiegających się za wszelką cenę o zdobycie dla siebie mas głosujących.

Jeśli w rdzennej Polsce, gdzie zresztą poziom pojęciowy ludu jest o wiele wyższy, a co ważniejsza, polskość ludu tego bezsporna, walki partyjne złym są czynnikiem wychowawczym, zawsze się bowiem kończą na schlebianiu tłumom i dyskredytowaniu się wzajemnem programów i kierunków odmiennych — o ileż zgubniejsze muszą być rezultaty akcji tego rodzaju na Kre-

sach. Tu naiwne umysły przyjmują wszystkie hasła propagandy na wiarę, a krytykę stosowaną do tej czy innej warstwy, tego czy innego urzędu państwowego uogólniają oczywiście i przenoszą na całość społeczeństwa polskiego i zarządzeń polskiej państwowości. Powaga państwa w ten sposób podkopywaną jest ogromnie, a sceptyczny stosunek do Polski i polskości w białorusinie, żydzie, litwinie, rosjaninie pogłębiany stopniowo. Prawdziwą usługą, oddawaną wszelkiej robocie antypolskiej, jest to czubienie się polaków między sobą. Podnieca ono, ogłupia i rozzuchwala. Front polityczny polski winienby być na kresach jednolity. Lecz to są oczywiście przy naszej partyjnej zaciekłości — mrzonki. A więc nasuwa się pytanie: czy może ziemiom tym, które naprawdę wprzód spoić z Polską trzeba, zanim to nastąpi — „dobrodziejstwa" parlamentaryzmu nie mogłyby być oszczędzone do czasu.

Jest jedna jeszcze sprawa, którą trzeba omówić oddzielnie, tak doniosłe i pierwszorzędne ma znaczenie: to oddziaływanie tego ogniska polskiej myśli i ducha, jakim jest, jakim mógłby być przynajmniej, uniwersytet wileński. Jak żaden inny czynnik powołany on jest do wypełnienia misji kulturalnego zjednoczenia z Polską owych plemion, które na przyrubieżnych ziemiach państwa żyją. By temu sprostać jednak — musi te młode narodowości umiejętnie przygarnąć... Tutaj względy formalne ustąpić winny istocie państwowych dążności. Niestety my wyżej stawiamy formalistykę. Od drzwi uniwersytetu wileńskiego co rok odchodzi z kwitkiem sporo młodzieży białoruskiej, która skończyła gimnazjum swoje, nie dające patentu państwowego. Abiturjenci jego nie są więc dopuszczani do studjów. Zasadzie urzędowej staje się zadość, dzięki temu jednakże młodzież białoruska nie dostaje się w sferę oddziaływań polskich i nie zżywa się z naszą młodzieżą. Na to czekali tylko czesi. I oto ta sama odpalana co rok garstka młodych białorusów przyjmowana jest z roztwartemi objęciami w Pradze, gdzie stworzono już dla nich liczne stypendja i gdzie czekają tylko, aby ich przygarnąć i wychować... na wrogów Polski oczywiście.

Na uniwersytecie wileńskim nie ma też dotąd katedr języka litewskiego i białoruskiego... Dlaczego?.. Tu przypominam sobie, jak ongi rząd rosyjski hodował starannie i przezornie w uczelniach swych młodych bułgarów, pragnąc narodu tego kupić sobie duszę. I osiągnął w ten sposób bardzo wiele. Recepta zdawałoby się prosta. Korzystają już z niej i bolszewicy, ściągający na uniwersytet utrakwistyczny w Mińsku też ile się da młodzieży białoruskiej zza kordonu. Tam widzi ona, jak z pięciu powiatów początkowo wyrosła duża, kilkomiljonowa republika istotnie białoruska, bowiem sowiety z rusyfikacją przymusową i centralizacją zerwały i z dwóch fikcji niedawnych powstaje rzeczywista Ukraina i rzeczywista Białoruś... Powstają i poczynają fascynować młodą wyobraźnię. Zali nie jest to fakt, który w metodach i działaniach polityki polskiej na Kresach musi być wzięty też w rachubę? To pytanie chciałbym polecić szczególnej uwadze polityków polskich.

Kresowiec.

Nowy pałac sprawiedliwości w Kairze.



Fronton „Pałacu Sprawiedliwości", zaprojektowany przez architektów p. Erlangera i Azema. Projekt ten otrzymał pierwszą nagrodę.

Rząd egipski rozpisał konkurs na gmach pałacu sprawiedliwości. Do konkursu stanęli architekci angielscy, włoscy, francuscy, rosyjscy i niemieccy. Zwycięstwo odniósł projekt przedstawiony przez architektów francuskich. Prasa paryska fakt ten podnosi, jako dowód dobrego smaku, który kultywuje wyższa szkoła sztuk pięknych.

Nowy ten pałac sprawiedliwości będzie wybudowany przy skrzyżowaniu ulic Movillard i Boulun w Kairze. Autorami projektu tego są pp. Erlanger i Azema.

Wystawa prac Zofji Stryjeńskiej.



PORANEK.

WYSTAWA PRAC ZOFJI STRYJEŃSKIEJ.

Ci Warszawianie, którym znikoma ilość czternastu dni wystarczyła na powzięcie i wykonanie ważkiej decyzji, by zboczyć z codziennie deptanej ścieżki i w kolejkę Lurs-Klub-Kino-Jazz wsunąć przystanek: „Salon Garlińskiego“, wynagrodzeni byli stokrotnie. Dano im obejrzeć czarownie malowane widowisko „Ranka“ i „Wieczoru“, bogów, ludzi i rzeczy; a wszystko zobrazowane tak bogato, w optycznej wersji tak świetnej, że pewna kategorja widzów — nie jestem zwolennikiem bezwzględnego uprawnienia ludzi — słono za ten zaszczyt zapłacić by powinna. Ceniliby go sobie wówczas podwójnie. Chlubną, mimo niedawnego istnienia, a zasłużoną opinją cieszący się Salon przy ulicy Mazowieckiej gościł przez krótki, zbyt krótki czas niestety, wystawę ostatnich prac krakowskiej malarki, pani Zofji Stryjeńskiej. Gościnny występ artystki nie był w Warszawie debiutem; był raczej premierą, oczekiwaną z napięciem a przyjmowaną z rosnącym z roku na rok zachwytem najszczerszym tych, którzy od lat kilku nieustanny postęp młodej malarki śledzą, którzy się nim z głębi serca cieszą, a ekspozycji jej dzieł jak przelotu złotopiórych ptaków niecierpliwie wyglądają. Metafora przesadna może, te ptaki? Ależ bo każdy obraz Stryjeńskiej to rara avis na horyzoncie sztuki, ptak rajski dosłownie.

Rzadko się zdarza, by talent na wskroś oryginalny, samorodny, płodny i plenny zyskał szybko ogólne uznanie publiczności i prasy, krytyki i kolegów. Rzadziej jeszcze, by twórca, otoczony od pierwszych nieomal kroków atmosferą uznania, wchłaniając świadomie czy bezwiednie rozliczne a nieuniknione wpływy postronne, asymilując zdobycze teorji i pogłębiając zasoby techniki, potrafił zachować niewzruszoną, własną indywidualność malarską w tym stopniu, co p. Stryjeńska. Jakkolwiek całą dotychczasową jej twórczość cechuje zgoła męska energja, to zdaje mi się, że psychicznem tej twórczości podłożem jest posłuszne poddanie się instynktowi, tej przemożnej sile w niewieście, co rozstrzyga nieomylnie najzawilsze problemy i gładko steruje między Scylle komunałów i Harybdy teorji, kędy w zbałwanionym bigosie recept, reform i zmiennych z dnia na dzień dogmatów tracą tak często ster i busolę miałkie mózgi męskie. Instynkt malarski, ale przedewszystkiem—kobiecy, dar bogów bezcenny, sprawia, że twórczość Stryjeńskiej, przepełniona współczesnością, tak bardzo „aktualna“, będąca nawet niejednokrotnie tej współczesności czy nowoczesności najpełniejszym wyrazem, nie uroniła nic poprzez różne fazy rozwoju z właściwości znamiennej tego bujnego talentu — z jego rodzimości.



Z. Stryjeńska.
Fot. St. Brzozowski.

Patrząc na wystawione ostatnio kompozycje i wspominając dawniejsze, trudno sobie nie zadać pytania, czy właściwość ta, tak do wyczucia

łatwa a do zdefiniowania trudna, przebija się w dziełach p. Stryjeńskiej dzięki reminiscencjom motywów zdobniczych, nigdy zresztą nie przenoszonych in crudo ze sztuki ludowej lub stylów historycznych, czy też swojskich ubiorów i obrzędów. Wszak to sfera zjawisk, w których artystka obraca się z pewnością i swobodą starego majstra a niefrasobliwą lekkością wybrednego na kwietne barwy motyla. Zażywając rozkoszy oględzin tych malowideł wybornych, od których oczy trudno oderwać, nabiera się przekonania, że swojskość ich głębiej kiełkuje, niż w pełnym smaku ornamencie; że przejawia się nie przez szczegóły przemiłe, podpatrzone trafnie a zużytkowane z bystrym dowcipem, ale że płynie z jakichś niezbadanych tajników tej niesamowitej duszy, z samego dna podświadomości, a przejawia się w tonie barw, w nastroju i przemawia odrębnym gatunkiem rasowego humoru i własnym rodzajem smętnej zadumy. Wszystko to sprawia, iż ciemność chmur, zimna tonacja fantastycznego pejzażu i srebrzyste rozświetlenie miesięcznego „Wieczoru“ mają coś z Szopenowskiego Nokturnu, a świetlisty „Ranek“ bucha nietylko słońcem i wrzawą ale pijanem echem oszalałych białych mazurów czy obertasów. Porównanie to wymaga komentarza; w umyśle niejednego ściąga może na realny grunt, udeptany obcasem ugwożdżonym, sarabandę tak z ciężaru gatunkowego wyzbytych ciał, że urągać się zdają prawom przyciągania przez ziemię, a oddychają chyba tylko ozonem.

Młodzieńczy, często bachiczny polot, postponując zwycięsko prawdy archeologiczne i dokładności pedantyczne kostjumologji, rzuca w kosmiczne wszechświaty gromady figur, prowadzi je, a często gna na przełaj, poprzez uświęcone style i epoki, to znów wodzi je i przepędza po ziemskim padóle, takim, jakiego wizja nawinie się w danej chwili malarskiemu kaprysowi.

Rzewność, bez cienia sentymentalizmu, i humor najprzedniejszy, a wszystko wyrażone skalą barw lekkich, wibrujących, rozedrganych, form własnych i ruchów kapitalnych, z prawami gimnastyki niewiele mających wspólnego, ale wiarę w ich żywotną mechanikę narzucających; bezwiedna, żywiołowa dekoracyjność w najszerszem tego słowa znaczeniu i wreszcie własna technika, po mistrzowsku opanowana, to sztuka Zofji Stryjeńskiej, doprowadzona w zaprezentowanych świeżo Warszawie pracach do wyżyn, nawet przez tę doskonałą malarkę dotąd nie osiąganych.

W dziedzinie sztuki dekoracyjnej



ma pani Stryjeńska więcej do powiedzenia, niż ktokolwiek w Polsce. Że zaś opanowała i technikę freskową— wystarczy przypomnieć pełen werwy fryz staropolskich postaci w jadalnej sali neo-patrycjuszowskiego domu na Kanonjach, — sądzić można, iż dziś, gdy stolica zabiera się nareszcie do oczyszczenia swej zaniedbanej od czasu wojny powierzchowności, gdy nowi posiadacze restaurują z gruntu cudze dawniej siedziby, gdy sumptem wielkim, bezcennemi marmury zdobi się gmach teatru miejskiego, pola dla pracy twórczej wszechstronnie uzdolnionej artystki nie braknie. Złożyła ona dowód na ścianach wnętrza wawelskiego, w „Baszcie senatorskiej“, że z monumentalnych zadań wywiązać się godnie potrafi Ze wszech miar chwalebnie począł sobie prof. Szyszko-Bohusz, wprowadzając Stryjeńską w wawelskie komnaty. A jakkolwiek kręciły niektóre nosy na rzekome „rozhukanie barw“ i zbyt lotną wyobraźnię malarską, godzi się przypomnieć, ile to szat narozdzierano nad „marjacką“ polichromją Matejki, i ile czasu czekać musiała Wyspiańskiego św. Salomea, nim ją za godną witrażowych przezroczy uznali O.O. Franciszkanie.

Radość życia, cechująca sztukę Stryjeńskiej, chwytanie poetycznej strony życia czy jego przyziemnych objawów na gorącym uczynku i zdolność przekształcania ich po swojemu, skojarzone z wielorakiem zainteresowaniem w sferze literatury, wysunęły artystkę na czoło w szeregu naszych illustratorów. W tem wszechludzko zrozumiałem narzeczu, jakiem illustracja—jedyny odpowiednik obrazowego pisma wschodu — przemawia na Zachodzie w imieniu martwego druku do cudzoziemskich nacji, wzięła ona przed rokiem światowy rekord. Wysunęła się na plan pierwszy z międzynarodowej rzeszy rysowników, jacy po przez wspaniały zespół eksponatów, nadesłany ze wszystkich krańców Europy, rywalizowali pod ochroną firm księgarskich na międzynarodowej wystawie książki we Florencji.

W całym szeregu różnojęzycznych, pochlebnych wzmianek i entuzjastycznych artykułów,—że wspomnimy tylko studjum prof. Balsamo Stella w Bolletino del Arte i rozdział p. Mario Tinti w florenckim miesięczniku Arti decorative, książce polskiej poświęcony, — brzmiała jedna nuta podziwu dla śmiałości, temperamentu, werwy i odrębności narodowej rysowniczki i kompozytorki.

I nigdy może jej „słowiańskie bogi“ nie dożyły takiego, jak na obczyźnie, tryumfu, nigdzie tak dumnie i zgóry na ludzkie rzesze nie poglądały.

Po niezrównanie barwnej swadzie i swywolnie rozigranym koncepcie, przepełniającym Monachomachję, po jędrnej tężyźnie i dosadności, z jaką potraktowana została Tetmajerowska „Baba, co djabła wyjonacyła“, przyszła kolej na „Treny“ Kochanowskiego.

Maleńka „Safo słowieńska“, wśród ptaszęcych chórów sama do ptaszyny podobna, to znów na dziewiczem posłaniu rozmodlona, albo lutnię symboliczną dzierżąca, owo dziecię „obyczajne, ludzkie, nie rzewniwe“, które przedwcześnie „sroga śmierć spłoszyła“ i zbolały bard humanista, owiani urokiem skromnych prymitywów, oboje tak cisi, ludzcy,— to nowy klejnot w bogatym artystki dorobku.

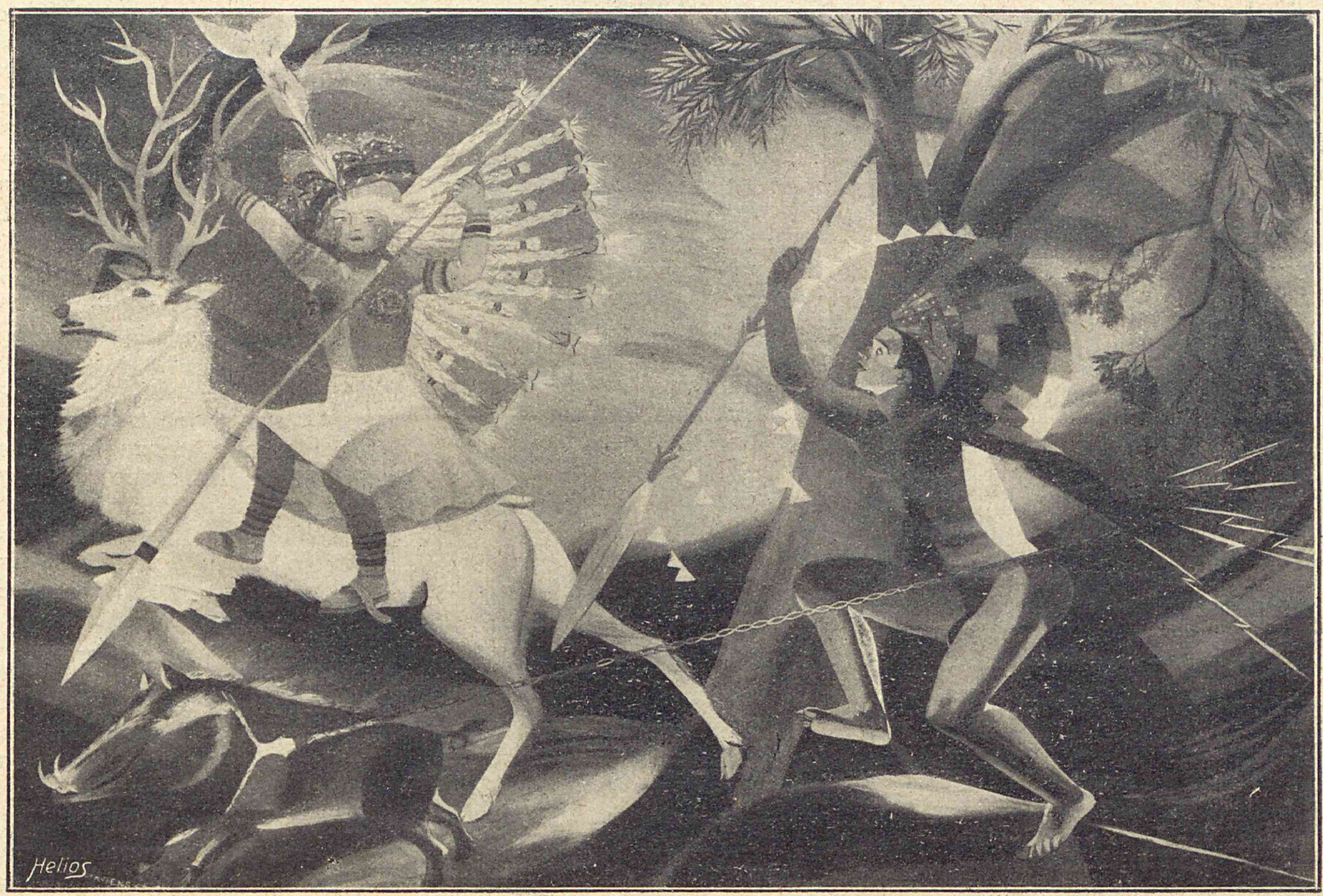
Przybywa doń piękny projekt gobelinu, przeznaczonego do pawilonu polskiego, na wystawie sztuki stosowanej w Paryżu.

Katalog obrazów Zofji Stryjeńskiej został opatrzony wstępem, napisanym przez d ra Leona Chwistka, zawierającym wiele trafnych i umiejętnie sprecyzowanych uwag, a tchnącym na ogół szczerem uznaniem dla wybitnego talentu malarki. Nie mniej razi komentatora „silny wpływ naturalizmu“, którego ujemne skutki w traktowaniu części pejzażowej i figuralnej podkreśla. „Gdyby Stryjeńska pozwoliła unieść się swojemu temperamentowi do ostateczności“, czytamy, „gdyby zerwała z nieuświadomionym kompromisem, szczerzącym zęby w niektórych częściach jej obrazów, stworzyłaby dzieła najwyższej klasy...

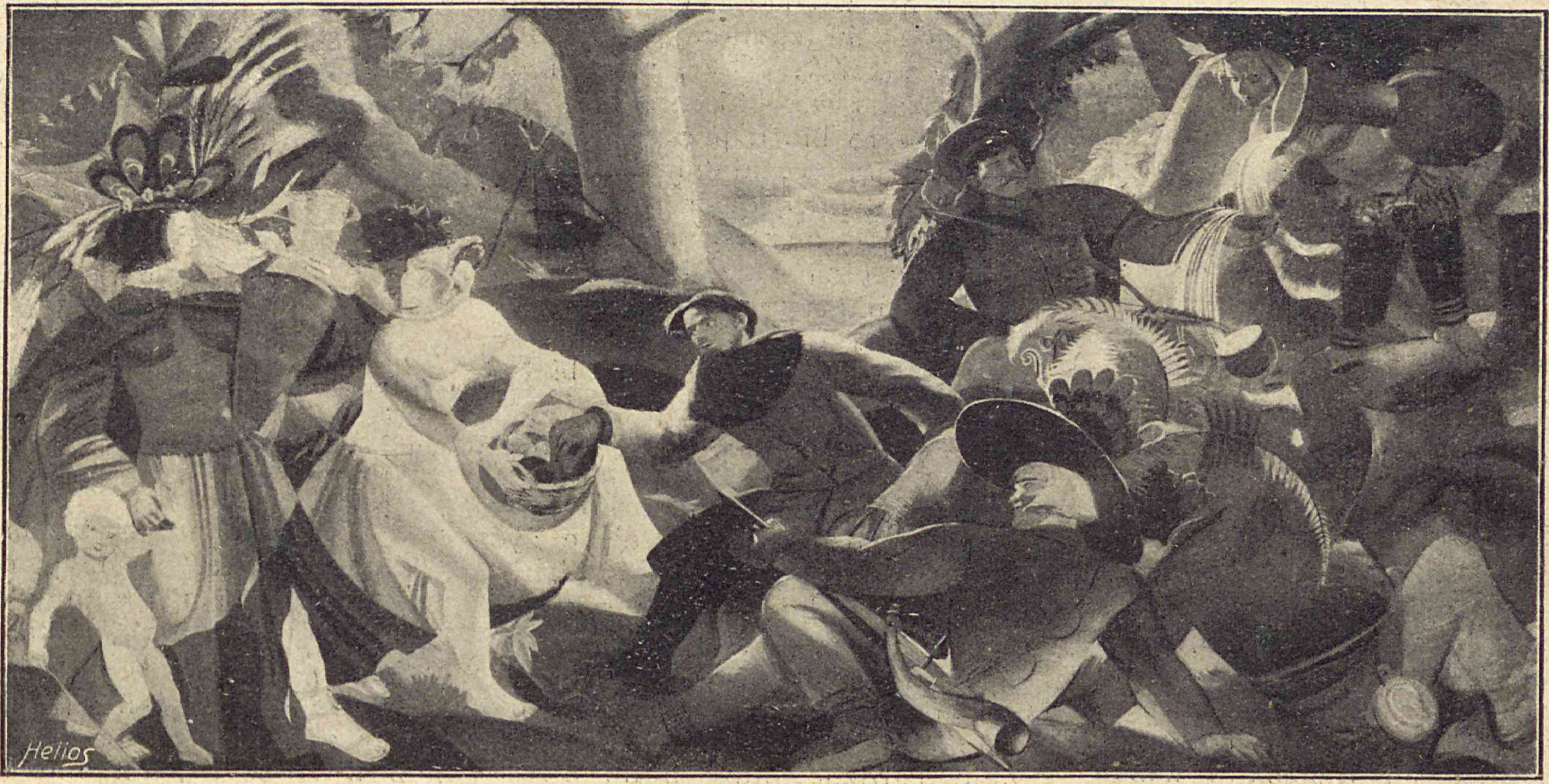
Nie wątpimy ani na chwilę, że to nastąpi, o ile p. Stryjeńska nadal da posłuch tylko i jedynie własnemu temperamentowi, wypróbowanemu doradcy, nad najżyczliwszemi i najfachowszemi poradami z zewnątrz przechodząc do porządku.

Karol Frycz.

Wystawa prac Zofji Stryjeńskiej.



„ŚWIT".



„WIECZÓR". (Z wystawy zbiorowej w Salonie Cz. Garlińskiego).

TRAGEDJA PUSZCZY.

3) *(Kartki o Białowieży).*

III.

Jak naród szlachetnego gatunku, co po dniach sławy i blasku złe losy w niedolę zapomnienia pogrążą, ale ufny w niespożyte swe moce przeżyć zawsze ją zdoła, — tak trwała puszcza, niby dobro bezpańskie, na łup drapieżności skazana, aliści, za Batorego odrodziła się, dawna.

Odrodziła, bodaj jeszcze piękniejsza, w odzyskanem bogactwie swego skarbu żywego i wszystkich jego urokach.

A chociaż zwierz leśny w niej ginął i nieraz gromadnie, bo taka była pańska ochota i złe prawo człowieka, lecz jednocześnie pamięć dobrotliwa, królewska, nieraz serdeczna, miała w pieczy stworzenie, strzegła od złych przygód i głodu.

Bo kochał knieję, niby dom własny, ów pan obcej ziemi, siedmiogrodzki książę, co z polską koroną polski afekt łowiecki przyjął do serca. Dodał mu jeszcze treści szlachetnej, przez tak sobie właściwy poryw szczerze rycerski. Co za tem, złagodził pierwotny a dziki łowiecki obyczaj.

Nie był strzelcem, ale myśliwym — miłośnikiem przyrody — powiedzianoby dzisiaj, w którem to określeniu, podobno, znaczna uczuć różnica.

Jednak trudno ją uznać w tym stopniu, a na korzyść miłośnika przyrody — ze strzelbą...

Myśliwym, dawniej, był prawie każdy, lecz nie stroił swej pasji serdecznej w kłamliwe pojęcia, tylko szedł za urokiem. Pierwszy Batory zwrócił uwagę na stronę duchową łowiectwa. Pośrednio dał jej wyraz w ubogiej literaturze tych czasów.

Za jego bowiem to wpływem, a może stanowczem życzeniem, — jako że szlachcic ówczesny nie chciał się parać mizernym procederem pismackim — „urodzony, a wielce nam miły" imć Matheus Cygański napisał książkę: „Myślistwo ptasze". Przywileje autora sobie zapewnił i Jegomości Królowi ją dedicavit.

Po szczęśliwym początku, gdyż praca ta zyskała pono wielkie uznanie, zjawiła się wkrótce i druga: „Myśliwiec" Bielawskiego Tomasza, poemat, z szesnastu pieśni, a każda inne łowy pochwalała w swej treści.

Pierwsze to były próby, a więc od usterek niewolne, każdemu poczynaniu właściwych. Niedługo jednak, a już Jan Ostroróg Sadowski, wojewoda poznański, ogłosił swe znamienite: „Myślistwo z ogary". Przyjęto je z wielkiem zdumieniem, bo— wżdy, nie do wiary się zdało, aby wojewoda rzecz tak wymyśloną foremnie z własnej wziął głowy.

Książki te i dzisiaj, choć już nikogo nie uczą, nie pozbawione są jednak uroku. Dają nam w swej treści obraz nader staranny ówczesnych, a wielce złożonych sposobów, zabiegów, których poznanie a długie lata doświadczeń składały się na istotę i powab *sztuki łowieckiej*, tak wysoko cenionej przez dawnego myśliwca.

Jakżeby tej sztuki nie cenił niektóry, gdy miał jej przestrogi zapisane na skórze i trwale, śladem głębokim kłów, czy pazurów, aż po koniec żywota.

Dał tedy król Stefan, poza gospodarką praktyczną, co zwierzostan podniosła, pomyślny początek piśmiennictwu polskiemu w zakresie polskiego łowiectwa.

Pierwszy też z królów zwrócił w puszczy uwagę na pomniejszą zwierzynę, zwłaszcza na ptactwo, które jakoś, szczęśliwie dla siebie, szczęścia nie miało do jego poprzedników, myśliwych, a nawet było wzgardzone.

Za królewską uwagą przyszła jednak na nie zła kolej, gdy wprowadzono w życie zamierające „polowania w sokoły". Owe, zrazu królewskie zabawy, które potem, aż do czasów rozbioru porywały swym czarem okrutnym, nietylko wojewodów, kasztelanów, dwór pański, ale i przysłowiową, na zagrodzie szlachtę. Niejeden z nich snadniej pozbyłby chudoby, niż wyrzekł „ptaszyny". Tak, bowiem, miłośnie zwał się każdy ptak łowny, choćby srogi białozór.

Wczesną wiosną zazwyczaj polowano z niemi, u skrajów puszczy, gdzie nizinne jarugi gromadziły wszystko, co tylko w Polsce żyć mogło. Istna to była królów skarbnica, odpowiadająca każdemu zachceniu, z wielkopańską szczodrotą. Nie dziw, że tak pociągała z Bożej łaski myśliwca i władcę w swe tajemne schroniska, gdzie snuły się czaple ostrożne, niby straż przednia i czujny łoś drzemał — patryjarcha borów. Zwierz czarny miał także tu swoją siedzibę, tylko żubr wolał knieję wysoką z jeleniem w kompanji.

Nieznanowską puszczą ta część białowieskiej się zwała, ale wartą była poznania — zjeżdżali też do niej i goście z zagranic: moskiewskie bojary, a z Węgier kwiat panów.

Nawet nieruchawe książę niemieckie, albo i zgoła zamorskie znęciło się tu nieraz, zabawiając muszkietem, a często czas dłuższy, niż na to pozwalał polityczny obyczaj.

Ale, zawsze, gdy gość był znaczniejszy, pan lubił takiemu i knieję i — siebie pokazać.

Tedy, siecią pięciomilną objątką bór grodził, tedy tysiąc obławy i psiarni rozżartej sześć wozów, a gdy wraz to ruszyło, wrzaskiem, jękiem, lamentem zaniosła się puszcza i ścichło serce w człowieku. I wraz, stado żubrów przewaliło przez knieję, jakby z niemi huragan, burzy łoskot pod ziemią, a tuż smukły daniel rogi złożył po sobie i sadzi. Ówdzie, chyłkiem, wilczysko przemyka, a tam czarne kłęby koliste, zjeżone prą poprzez gąszcza, z trzaskiem, warchotem i tłuką w obłędne wrzawisko salwami muszkiety, aż się serce królewskie zaśmieje: — znaj pana!

A potem pod nieba sklepieniem, na kwietnej polanie, co mu była najmilszą komnatą, król sprawiał biesiadę; po dniu krwawym, niosły się w knieję, lękiem śmierci objętą, wiwaty. Trwało w noc długo, a precz z wozów zwalali antały i niosły się pieśni, jakby wichrem miotane, to znów grzmotem śmiechów objęte toasty, przysięgi, żałosne wzywania i klątwy, aż z bladym doświtem cisza posępna zawisła nad zrytą polaną, gdzie się już tylko poboisko widziało.

A wokoło tej sennej martwoty już budziła się puszcza. Z rześkim, rannym powiewem szły z niej szmery, pogłosy, i już u ciemnych borów granicy człowiek zsiadły, niewielki, ale pańskiej postaci, knieję ogarami zakładał.

— — — — — — — — — — —

Zachowano w kronikach opis jednej z tych biesiad.

Na „Batorowej górze" R. P. 1579, odbyć się miała, a gdzie król sprawił „bankiet tak ogromny, dla gości szlachetnych i nikczemnego stanu, że aniby kto zliczył, jakie poniósł expensa".

Pono i dwór pański, a jak zwyczaj, z białemi wieżami, był tu, gdzieś w okolicy, a na miejscu, zwanem podzisiaj „Zamczysko".

Kilka głazów po nim zostało. A o wspominki starych dębów tyl-

ko już pytać, gdy pod jesień rozgwarzą się dziady.

Wielka Kletna opodal, założony przez króla zwierzyniec. A, gdzieś, tam, w archiwach pamiątka, jak to Jegomość dwóch żubrów, jako osobliwsze stworzenia, do Warszawy i Krakowa wysłał na pokaz.

Ale trwało niedługo: z królów puszczy, zgnębionych niewolą, zdjął skóry miastowy oprawca.

Znał wszystkie tajnie borów król Stefan, bo je sercem, umysłem ogarnął, a łowy rozumiał, jak wojnę, — szlachetnie. Jeśli godził na życie, to i swoje stawił niezmiennie — nie zabijał bez walki.

Zagasł w pełni pięknego żywota pan sprawiedliwy, rycerski i mądry— miłujący puszczę opiekun, jako nikt przed nim, nikt po nim.

* * *

Na lat sto z górą znów cisza białowieską knieję zaległa, jakby pamięć królów już jej pozbyła, jakby w sercach ich zmierzchła dawna, płomienista ochota. Może tak i było wistocie, albo na pańskie myśli osunęły się troski chwilowo ważniejsze, dość, że ani król Zygmunt III, ani syn jego Władysław nawet dorazu tu nie zjechali, na swoje dziedzictwo.

Zatem, jakby się zdało, nic nie ujęli, nie przysporzyli niczego, jednak, z roku na rok zwierz marniał.

Ale, jakże być miało na dalekich krańcach, skoro tuż pod Warszawą, w tym czasie (1627) zginęła z ręki osadnika Jaktorowskiej puszczy para turów, ostatnia, nietylko w Polsce, ale pono na świecie. *)

Nic też nie odmienił w białowieskich losach Jan Kazimierz, następca.

Pono raz tylko polował w puszczy, ale udręczony, podówczas, przez złe sprawy nawiedzonej wojną Ojczyzny, nietylko rozrywki poniechał, ale i myśli o gospodarce na zdawna zaniedbanej fortunie.

Wreszcie, król ten nieszczęsny, w skutku niepomyślnych losu obrotów poświęcił się całkowicie rozmyślaniom zaziemskim. Rzecby można — książe skłonności, gdyby nie tradycje, iż Boski dworzanin owego czasu, że to bywał zwykle krwi dobrej — rycerski miał w sercu animusz, a przeto wolał nieraz wrzawę łowiecką, gromną pieśń kniei, niźli gorzkie żale, a mdłe medytacje.

*) Podzielone zdania, gdyż jedni uważają tura za pokrewny żubrowi, a zasiniony gatunek, drndzy utożsamiają go g żubrem, którego też zatracono w czazach ostatnich.

RYSUNEK ANTONIEGO KAMIEŃSKIEGO.



Droga z Bielska do Białowieży.

Tedy, żyła puszcza bez pana.

Co trwało i dalej, bo i Jan III milej sobie widział wdzięczny, niewzbronny ogrodek Marysieńki wdzięków, niż dzikie, niedostępne jary. Przyczem pilnie go strzedz musiał od szkody, a pewna że łatwiejby wszystkie żubry darował, niźli komu zezwolił, aby w nim uszczknął kwiatuszek.

Pono jednak nie ustrzegł ogródka, a żubry szły dalej na chłopskie pieczenie.

* * *

Dopiero na schyłku XVII stulecia zagrzmiały w Białowieży radosne fanfary... niemieckie. Zjawiła się liberyjna służba w harcapach, jako złe duchy, kusa, opięta, a za nią wnet zjechał w poszóstnej karocy człek potężnej statury, groźnego wyrazu, lecz, ni pan ze skłonności, ni myśliwiec z duszy i zgoła obcy polakom król polski—Augustus. A nazwali go — Mocny, jako że nie miał nic godniejszego za sobą, jeno garść krzepką i głowę nie byle — do trunku.

Działoż się to, działo, gdy te cudze saskie figury wtargnęły w cichą a mroczną, jakby zadumaną puszczę. Wraz ruszył się zamęt: sługa miejscowy nie rozumiał pana, pan sługę, niby stracha leśnego oglądał, w zdumieniu, i obzywał godzikiem. Tu i owdzie z osadnikiem zadarli—niedźwiedziem w barłogu, aleć sprawa z takim niedługa: ktoś tam zginął, bez śladu i drugi, a w rok ledwo straż leśna białe lederwerki z klamrami nalazła.

I tyle, nawet harbajtle i te wilcy pojedli.

Zygm. Bartkiewicz.

D. c. n.

Życie paryskie w ciągu ostatnich miesięcy.

Tegoroczna zima w Paryżu jest mniej huczna, mniej beztroskliwie wesoła, niż zwykle. Zabaw nie brakło i nie braknie, może jednak więcej bawią się cudzoziemcy, niż sami Francuzi. Co się złożyło na to? Ogólny, trochę pesymistyczny nastrój, spadek franka, zwiększająca się wciąż drożyzna.

Zaczęło się od procesu Germaine Berton, bardzo długiego i bardzo niedorzecznie sensacyjnego. Zamiast sądzić zwyrodniałą dziewczynę złego życia, żebrzącą jednego dnia w misji protestanckiej, nazajutrz w klasztorze katolickiem, a w rezultacie kończącą na kulcie dla komunizmu i anarchji, — jako zwykłą morderczynię człowieka spokojnego, żołnierza Wielkiej Wojny, zrobiono z owego procesu istną trybunę publiczną dla wszystkich nieproszonych mówców i agitatorów. Rozprawiali w sposób umiarkowany rojaliści i republikanie, miotali się wściekle wszelkiego rodzaju „wywrotowcy“, komuniści i anarchiści, a o właściwą ofiarę i o mordercę nikt naprawdę nie troszczył się, nawet... sędziowie. Całe to śmiesznie-bolesne przedstawienie zakończyło się najniespodziewaniej uniewinnieniem morderczyni, wyrażającej dość cynicznie żal, że nie udało jej się zabić jednego z szefów partji rojalistycznej, p. Leona Daudet...

Wyrok wywołał niekłamane oburzenie i przygnębienie. Na całej linji ozwały się protesty. Echa tego nieszczęsnego procesu nie przebrzmiały dotąd. Dla tych, co znają wielką ruchliwość umysłu Francuzów, jest to znamiennym dowodem, że wrażenie musiało być bardzo poważne, skoro trwa tak długo.

Spadek franka wywołał również przygnębiające wrażenie. Z początku zabrano się do sprawy dosyć energicznie, wysiedlając poza granice kraju kilku pseudobankierów, spekulujących na zniżce franka. Byli to przeważnie rosjanie, grecy i żydzi. Na tem jednak sprawa stanęła. Wkrótce podniesiono ceny tramwajów, autobusów, a nawet metra. Podwyższono nawet—rzecz najtrudniejsza we Francji—ceny chleba o 5 cent. na funcie. To już wywołało gwałtowne protesty, drukowane grubemi literami na czerwonym, zielonym lub pomarańczowym papierze. Publiczność czyta je chętnie, czasem komentuje i... przechodzi. Jednak mimo pozornego spokoju odczuwa się ogólne niezadowolenie.

. . . .

Życie przecież toczy się swojem kołem. Do kinematografów ciągną co wieczór tłumy publiczności. W teatrach pełno. Odéon (drugi po Comédie Française teatr rządowy) ma powodzenie, dzięki zabiegom p. Gémier, który kocha się w pięknych dekoracjach i wspaniałej wystawie sztuk. Nowości jednak stosunkowo mało w Odeonie i prasa mniej się nim zajmuje w tym roku. Za to ciągłą jej uwagą może się poszczycić od paru miesięcy Komedja Francuska. Chodziło najpierw o zastąpienie zbyt podstarzałych artystów młodemi, odpowiedniejszemi siłami. Projekt ten napotkał gwałtowną opozycję leciwych „stowarzyszonych“, wcale nie pragnących schodzić ze sceny. Debaty, spory, polemiki, w których wzięły żywy udział dzienniki paryskie, trwały około 2 ch miesięcy i zakończyły się, jak to najczęściej bywa w podobnych okolicznościach, kompromisem, który nie pomaga i nie szkodzi. Nie było atoli sądzonem „domowi Molière'a“ zażywać spokoju w tym roku. W ostatnich dniach zjawił się nowy powód niepokoju. Jest nim sztuka młodego autora, Pawła Raynal, zatytułowana: „Grób Nieznanego żołnierza“.

Przytłoczona swym pomnikowym tytułem, sztuka nie jest właściwie ani lepsza, ani gorsza od bardzo wielu sztuk „wojennych“, granych w ostatnich latach. Jest właściwie zbiorem dość rozwlekłych i nudnych monologów i djalogów o wojnie, o młodszej i o starszej generacji, o prawach tej ostatniej.

Rzecz dzieje się na wsi w starym zamku, gdzie przyjeżdża na urlop młody żołnierz, syn starca, a narzeczony Aldy. Młodzieniec opowiada bez fałszywego wstydu o swych bohaterskich czynach. Bohater ma pozostać w domu ojcowskim tylko 4 godziny, od 3-ej w nocy do 7ej rano, poczem odjedzie na pewną śmierć. Piękna Alda oznajmia swemu narzeczonemu, że ponieważ wojna jest długa, a na razie niepodobna myśleć o ślubie, więc należy... obejść się bez niego i skorzystać z krótkiego czasu.—„Zrywajcie kwiaty, nie czekając jutra“—wołał 500 lat temu wielki poeta Renesansu francuskiego, Ronsard...

Akt drugi rozgrywa się w sypialni i może w zupełności zadowolnić amatorów tanich sensacji. W akcie trzecim bohater odjeżdża. Stary ojciec, dowiedziawszy się o wszystkiem, czyni wyrzuty młodym, a szczególniej synowi za brak woli i rozwagi. „Bohater“ rozwścieczony odpowiada długim dytyrambem, pełnym oburzenia i wzgardy. Łączy się z nim piękna Alda, momentalnie zmieniająca się w jędzę. Tu zaczynamy rozumieć desperację bohatera... Sztuka kończy się przeprosinami ze strony ojca, któremu syn wspaniałomyślnie przebacza, pięknej Aldzie radzi wyjść zamąż...

Sztuka, dość słaba, byłaby napewno zeszła szybko i cicho z afisza w każdym innym teatrze. Ale widzowie Komedji Francuskiej, mniej skłonni do pobłażliwości, zaznaczyli swe niezadowolenie w sposób dosadny, gwizdaniem, sykaniem i hałasem. Więc strona przeciwna, mniej zresztą liczna, spróbowała walczyć, a stąd oczywiście wynikł tumult ogólny. I reklama...

. . . .

Na szczycie wzgórza Montmartre'u, w małej wązkiej ulicy Lepic, mieści się niewielki, lecz bardzo ciekawy teatr „Sztuka i Czyn“ (Art et Action). Widzowie, przybywający tu jedynie za zaproszeniami—każde z nich jest wykonane w sposób prawdziwie artystyczny — są starannie dobierani. Wstęp, zarówno jak szatnia, są bezpłatne. Artyści należą do najlepszych teatrów paryskich, jednak w „Art et Action“ ofiarują bezpłatnie swój czas i pracę. Dekoracje są bardzo oryginalne, często zupełnie nowe w pomyśle. Czasami układane bywają z przezroczystych dywanów, czasami z odpowiednio oświetlanych woalów. Przypomina to nieraz witraże średniowieczne i nadaje sztukom zupełnie osobliwy charakter. Czuć w tym niewielkim teatrze, że ludziom organizującym go chodziło li tylko o sztukę, że szukają oni odważnie i niezmordowanie nowych dróg, próbują nowych sposobów, nie popadając przytem ani w niesmaczną przesadę, ani w dziwactwo. Chętnie grają oni sztuki autorów zagranicznych: w roku zeszłym wystawiono tutaj „Wesele“ Wyspiańskiego. Niedawno zaś zdarzyło mi się być tam na przedstawieniu kilku scen z przepięknego poematu w średniowiecznym stylu słynnego poety francuskiego, Karola Péguy (poległego w r. 1914).

. . . .

W Operze przedstawienia „Męczeństwa św. Sebastjana“ d'Annunzia z muzyką Debussy (zm. w r. 1918) ściągnęły liczną publiczność. Tytułową rolę grała Ida Rubinstein, przyczem w antraktach opowiadano sobie głośno, że wystawa tej sztuki kosztowała artystkę przeszło miljon franków, odznaczała się jednak, trzeba przyznać, niesłychanym przepychem. Drugi akt, w którym piękne niewolnice z Byblos grzebią świętego pod stosami kwiatów i purpurowych róż, wypadł wprost bajkowo pod względem dekoracji i strojów.

Muzyka Debussy jest piękna i nastrojowa, pełna niezrównanej harmonji. Wielki muzyk z każdym dniem staje się bliższym i droższym duszy francuskiej. Koncerty poświęcone muzyce Debussy nigdy nie miały większego powodzenia i nie były liczniejsze. Wkrótce też ma stanąć w miejscu urodzenia muzyka, w St. Germain-en-Laye, blizko Paryża, jego pomnik.

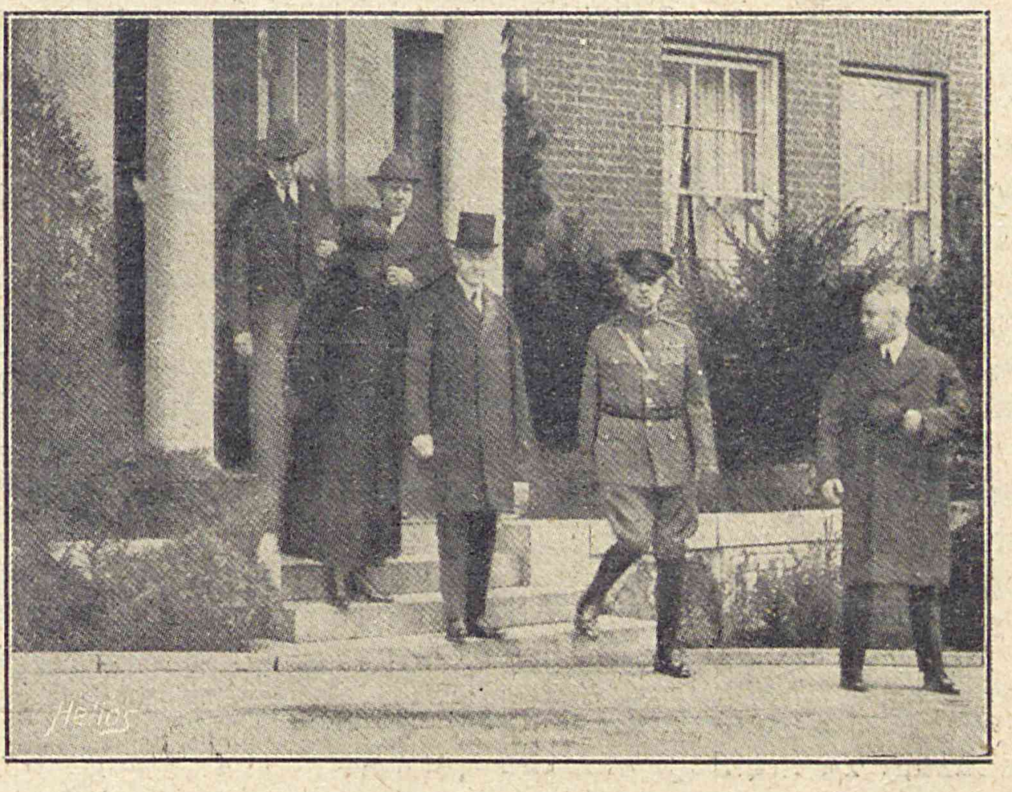
Paryż. *Dr. M. Kasterska.*



Pogrzeb b. prezydenta Stanów Zjednoczonych A. P. ś. p. Woodrowa Wilsona w Waszyngtonie.



Zwłoki ś. p. Woodrowa Wilsona, przewożone w automobilu pogrzebowym pod eskortą honorową z domu do katedry,



Prezydent Cooligde z żoną wychodzą na pogrzeb ś. p. Wilsona po złożeniu wdowie kondolencji.



Prezydent Coolidge z żoną za pogrzebem Wilsona.



Na wieść o śmierci ś. p. Wilsona na ulicach Waszyngtonu przechodnie manifestacyjnie klękali, ofiarując swe modły za duszę wielkiego amerykanina,

Z TYGODNIA.

Okazuje się, że zapisy na akcje Banku Polskiego idą dość leniwie. Jak zwykle, pierwsza na wezwanie pospieszyła inteligencja. Ta inteligencja, którą wojna zubożyła, która od skarbu Państwa nigdy żadnej pomocy nie doznawała. Zrzeszają się nawet robotnicy, by nabywać większe ilości akcji. Zwlekają natomiast, czy zgoła się wstrzymują, nasi magnaci agrarni i przemysłowi, wielcy potentaci finansowi.

Zaiste, zdaje się, że nie było lepszej sposobności — połączenia korzystnego interesu z widomym aktem dobrej woli obywatelskiej. Akcje Banku Polskiego, jak to wywiódł w „Kurjerze Warsz." jeden z najdoświadczeńszych naszych finansistów, dyrektor Banku Dyskontowego, p. Paweł Heilperin, jest typową lokatą przezornego ojca rodziny. Placement d'un bon père de famille! W stosunku do „murowanej" ewikcji dają procent wysoki! A równocześnie spełniony zostaje obowiązek wobec Państwa, które dla sanacji swych finansów musi taki bank emisyjny powołać do życia.

Nieobecni i tym razem nie będą mieli słuszności. Teraz ogłaszane są nazwiska tych obywateli, którzy podpisują się na akcje. Ale kto wie, czy po ukończeniu zapisów nie byłoby interesującem ogłosić listy tych wielkich posiadaczy ziemskich czy królików przemysłu, którzy uchylili się od spełnienia obowiązku obywatelskiego. Ogół powinien znać martwe komórki narodowego organizmu.

Ów absenteizm najbardziej zdumiewa ze strony naszej arystokracji rodowej. Czyżby w tych sferach sądzono, że zasługi przodków zawsze i wszędzie wystarczają?..

Może przecież ta gorycz jest przedwczesna i nieusprawiedliwiona. Termin zapisów określony został do 1 kwietnia. Zostało jeszcze sporo czasu.

Opłaty od pasportów zagranicznych zostały bardzo silnie podwyższone. Pasport zagraniczny ko-

sztować będzie teraz blisko miljard marek, t. j. około dwustu rubli przedwojennych.

Ta ogromna podwyżka wydaje się cokolwiek przesadną. Niebezpiecznie jest odgradzać kraj takiemi zaporami od Zachodu. Czyż byłoby pożądanem, ażeby za granicę jeździli tylko ludzie bardzo bogaci, nuworisze, którzy w podróżach innych celów nie widzą, jak porównawcze studja nad restauracjami, kabaretami i magazynami? Już w tym roku podobno „na jasnym brzegu" zjawiło się ich sporo i przy stołach gry w Monte-Carlo wcale często dawała się słyszeć mowa polska.

Władze fiskalne powinny jednak uwzględnić położenie tych, co wyjeżdżają za granicę nie dla pustej zabawy. Przedewszystkiem myślę o uczonych, literatach i artystach polskich, dla których miljardowa opłata za pasport będzie nową przeszkodą do wyjazdu. Tymczasem w interesie kultury narodowej leży, by nauka, literatura i sztuka polska jak najrychlej nawiązały dawne stosunki z Zachodem, by zaczerpnęły nowych podniet i sił do twórczej pracy. Mniemam, że Departament Sztuki winien zająć się troskliwie tą sprawą,—powinien uzyskać znaczniejszą liczbę pasportów ulgowych, któremi rozporządzałby według swego uznania. Ofiara ze strony skarbu nie będzie znaczna, bo w dzisiejszych warunkach niewielu w Polsce przedstawicieli nauki, piśmiennictwa i sztuki będzie mogło pozwolić sobie na wyjazd za granicę. Należy im ten wyjazd wszelkiemi sposobami umożliwiać i ułatwiać.

Nowa ustawa o ochronie lokatorów została przez Sejm uchwalona. Nie zadowoli ona w zupełności ani właścicieli domów, ani lokatorów. W tym splocie sprzecznych interesów kompromis, któryby radował w równej mierze jedną i drugą stronę, był niemożliwy. Nowa ustawa ma na celu powolne, stopniowe przywrócenie praw własności kamienicznikom. Ma w ciągu pięciu lat ponownie przyzwyczaić ogół obywateli do przykrego a zaniechanego obowiązku płacenia za wynajem mieszkania. Ma położyć kres niemoralnemu handlowi mieszkaniami oraz wyzyskowi sublokatorów.

Ustawa ta, niewątpliwie konieczna, nie spełni jednak zgoła oczekiwanych zadań, jeśli równorzędnie nie będzie przez rząd zainicjowany i odpowiednio poparty ruch budowlany. Gotowe przykłady tego *junctim* mamy w Anglji, Włoszech i Francji. Tymczasem u nas o tym trochę się pisze—bardzo mało, o jakichkolwiek poważniejszych konkretnych poczynaniach w tym kierunku głucho. Ruch budowlany na najbliższy sezon zapowiada się nader słaby. Jeśli rząd nie weźmie się do rzeczy energicznie, nie udzieli mocnej i chętnej pomocy inicjatywie prywatnej, nowa ustawa, miast wyników dodatnich, może wkrótce wywołać podobno nowe powikłania i kryzysy.

Talent aktorski święci oszałamiające, upajające sukcesy doraźne. Niestety, pamięć o tych sukcesach trwa niewiele dłużej, niż echa burzliwych oklasków, gasnących zwolna po zapuszczeniu zasłony...

I oto dziś przypominać trzeba młodszemu pokoleniu—tak niedawne a tak świetne tryumfy jednej z najlepszych komedjowych artystek polskich, Honoraty Leszczyńskiej, którą w przyszłym tygodniu teatr Rozmaitości czcić będzie jubileuszowem przedstawieniem. Córka Wincentego Rapackiego, żona Bolesława Leszczyńskiego, na scenę wnosiła radość życia, werwę i humor, zawsze w granicach dobrego smaku utrzymane, talent tworzenia postaci, tryskających życiem, umiejętność prowadzenia djalogu taką, iż każdy dowcip autora, każde subtelniejsze wyrażenie nabierało nowych wartości. Przez długi szereg lat była ulubienicą publiczności, nazwisko jej ściągało do teatru tłumy.

Honorata Leszczyńska miała tę rzadką u artystek dramatycznych odwagę, że cofnęła się w porę przed tragiczną walką talentu z nieubłaganym biegiem lat. Okres, w którym piękna kobieta zaczyna zdawać sobie sprawę, że jej młodość i uroda należy do przeszłości, staje się zwykle dramatem... Łagodzić go może tylko pogłębianie życia duchowego, szukanie nowych celów i zainteresowań. Mężczyźnie, jak owemu padowańskiemu pięknoduchowi Cornaro, łatwiej jest w starości odnaleźć dostateczne źródła zadowolenia. Cóż zastąpi—w całej pełni — kobiecie — poczucie tego uroku, którym promieniowała jej piękność? Pomnóżcie po tysiąckroć tę gorycz,—a jeszcze nie odczujecie cząstki tych zmagań się i konfliktów, jakie muszą rozgrywać się w duszy starzejącej się wielkiej artystki... Przeczytajcie „Jesień" Konara, jeśliście tej powieści nie czytali. Ten proces psychologiczny przeprowadzony jest tam doskonale.

Honorata Leszczyńska nie dała z siebie tego smętnego widowiska, jakiem jest — w teatrze — daremne upieranie się przy nabytych prawach... Przerzuciła się do ról charakterystycznych, występy jej stały się rzadkie. Tem gorętsze spotkają ją wyrazy uznania w dniu jubileuszowego przedstawienia.

skrz.

Paryski tygodnik o pisarzach dramatycznych polskich.

Bardzo ceniony i popularny tygodnik literacki paryski „Les Nouvelles littéraires" w jednym z ostatnich numerów poświęca dłuższy artykuł „Teatrowi Polskiemu p. Szyfmana", charakteryzując pochlebnie i wszechstronnie jego działalność i zasługi. Autor tej korespondencji tak się odzywa o pisarzach dramatycznych polskich, którzy w ostatnich czasach w tym teatrze wystawiali swe utwory:

„P. Stefan Krzywoszewski, prezes Związku Autorów Dram. Polskich, jest autorem dramatycznym i powieściopisarzem bardzo znanym w Polsce. Jest równocześnie naczelnym redaktorem największej ilustracji tygodniowej warszawskiej „Świat". Przemieszkawszy długie lata w Paryżu, p. Stefan Krzywoszewski stał się wielkim przyjacielem literatury francuskiej i jego tygodnik jest jedynem pismem w Polsce, które od lat czterech systematycznie prowadzi kronikę literatury i sztuki francuskiej. Jego sztuki, jak np. „Edukacja Bronki". „Djabeł i Karczmarka", „Szał" etc., odznaczają się delikatnym wdziękiem, który przypomina niekiedy literaturę francuską z 18-go stulecia.

Bardzo interesujące, przepojone uśmiechniętym pesymizmem są sztuki p. Perzyńskiego: „Siostra lekkomyślna", „Aszantka", „Szczęście Frania" etc„. Katastrofy w sztukach p. Perzyńskiego stają się faktami zwykłemi i powszedniemi, są „bagienkami", w których zużywają się dusze, nie mające siły do walki z nędzą codziennego życia.

Bardziej dramatycznym, bardziej namiętnym jest p. Gorczyński, który w „Wyzwaniu" broni śmiało wolności macierzyństwa. Bohaterka tej sztuki odsuwa się od ojca swego dziecka, ponieważ go nie kocha, a nie chce uledz konwenansom i zwyczajowym prawom.

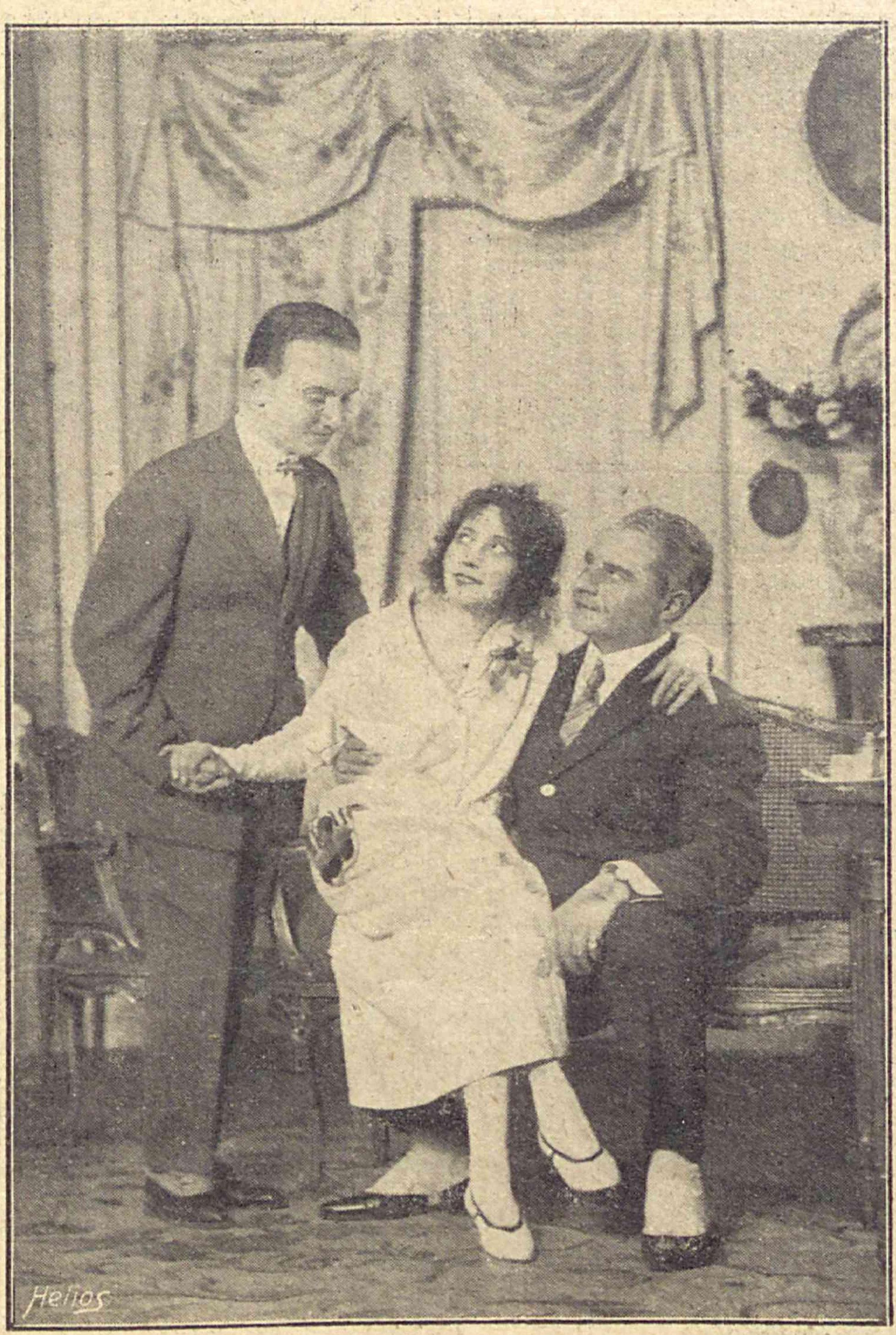
Obok p. Gorczyńskiego należy wymienić p Grubińskiego, który z wielkiem powodzeniem, w roku zeszłym, w swoim „Leninie" próbował rozwiązać problem rewolucji rosyjskiej i bolszewizmu. Jest to mocna sztuka, która budzi równe zainteresowanie w czytaniu, jak i na scenie.

P. J. A. Hertz lubi tematy nowe i oryginalne. Dowiódł tego w swoich sztukach „U źródła cnót", „Młody las" etc. Ostatnio grano w Warszawie jego sztukę p. t. „Bez tarczy".

Więcej powagi i pogłębienia ujawniają dwaj autorzy dramatyczni, potrochu symboliści, o duchu chrześcijańskim: p. Rostworowski i p. Ludwik Morstin. Sztuki p Rostworowskiego, jak: „Miłosierdzie", „Kaligula" i inne, były zawsze bardzo dyskutowane i zarazem bardzo podziwiane przez krytykę polską.

Wreszcie trzeba powiedzieć parę słów o p. B. Winawerze, autorze kilku komedji, wyróżniających się dowcipem i wesołością, - który umie śmiać się, — nawet poprzez łzy. Jego ofiarami są zazwyczaj nowi bogacze; broni wymownie nowych biednych, t. j. inteligentów".

Teatr Komedja: „Cudowne medjum", komedja w 3-ch aktach Stefana Kiedrzyńskiego.





P.p. Macherski, Leszczyńska i Stanisławski. Fot. St. Brzozowski. P.p. Gierasiński i Ćwiklińska.

„Najpiękniejsza z kobiet", operetka w 3-ch aktach W. Brommega w teatrze Wodewil.





P. Kazimiera Niewiarowska w roli tytułowej (w kostjumach aktu II-go). Fot. Leo Forbert.

Z teatru Wodewil.



P. Kazimiera Horbowska, znana śpiewaczka, po dłuższej nieobecności wróciła na scenę, rozpoczynając występy w operetce „Słowik Hiszpański" w Wodewilu.

TEATRY WARSZAWSKIE.

Teatr Komedja: *„Cudowne medjum", komedja Stefana Kiedrzyńskiego.*

Krotochwila Kiedrzyńskiego jest pobieżnym szkicem farsowym, który po gruntowniejszem opracowaniu, po usunięciu nadmiernych jaskrawości djalogu, sztuczności w karykaturze charakterów, rozwlekłości w rozwiązywaniu sytuacji, niedostatecznie przemyślanych, — mógłby stać się wesołą komedją obyczajową na tle życia dzisiejszej Warszawy.

Widoczny pośpiech w opracowaniu „medjumistycznego" tematu stanął w drodze teatralnemu opanowaniu intrygi. W ten tylko sposób wytłomaczyć sobie można zadziwiającą u tak doświadczonego i utalentowanego komedjopisarza, przypadkowość w układzie scen i widoczną trudność wybrnięcia w trzecim akcie ze sytuacji wcale nie zagmatwanej.

Komedję obsadzono niezręcznie, a grano bez zapału, pomimo widocznych wysiłków p. Ćwiklińskiej, p. Stanisławskiego i p. Leszczyńskiej.

E. B.

Pięćdziesiąt lat pracy scenicznej Romana Żelazowskiego.

Warszawa we wdzięcznej pamięci zachowuje świetne kreacje Romana Żalazowskiego. Artysta ten przez długie lata z desek teatru Rozmaitości czarował miłośników sceny i krytyków galerją postaci, pomyślanych głęboko, plastycznie, precyzyjnie. Któż nie zachwycał się jego „Urjelem Akostą"? Kto nie podziwiał jego „Otella"? Kto nie przechowuje w pamięci w jego wizji odtworzonąj postaci Horsztyńskiego?

Roman Żelazowski umiał jednak wzruszać nietylko postaciami bohaterskiemi. W rolach charakterystycznych potrafił być równie interesujący. Nie odrazu zdobył sobie ten niepospolity artysta uznanie. Mozolnie, krok za krokiem szedł w swojej karjerze



R. Żelazowski, w roli Pietra Caruso.

artystycznej, pnąc się coraz wyżej w hierarchji sztuki. Inaczej bowiem za dawnych lat artysta dramatyczny rozpoczynał swoje studja. Mowi o tem najlepiej pamiętnik R. Żelazowskiego. O pracy artystów tej epoki młodzież obecna nie ma pojęcia.

R. Żelazowski swoją karjerę artysty dramatycznego rozpoczął w Krakowie przed pięćdziesięciu laty. Grywał we Lwowie, Petersburgu, Łodzi, Poznaniu. Był pierwszym aktorem polskim, który sztukę sceniczną naszą zademonstrował w Pradze czeskiej i Zagrzebiu. Wszędzie osiągał duże



R. Żelazowski.

sukcesy, a występy w Pradze i Zagrzebiu stały się manifestacjami narodowemi.

Obecnie Roman Żelazowski jest ozdobą sceny poznańskiej. Na deskach tego teatru obchodzić będzie jubileusz swojego pięćdziesięciolecia pracy artystycznej. Pokaże znów swoją zadziwiającą kreację Horsztyńskiego. Będzie to święto artysty, który grą swoją niezwykłą zaskarbiał tem samem podziw dla muzy Słowackiego.

Rok temu gościła Warszawa znów Żelazowskiego w teatrze Rozmaitości. Przypomniał wtedy świetną swoją kreację „Piotra Carusa". Niktby nie mógł przypuścić, iż R. Żelazowski jest już na drodze do pięćdziesięciolecia swojego jubileuszu. Tak młodo, świeżo, ponętnie promieniowała jego postać w tej tragicznej roli włoskiego dramatu.



R. Żelazowski.

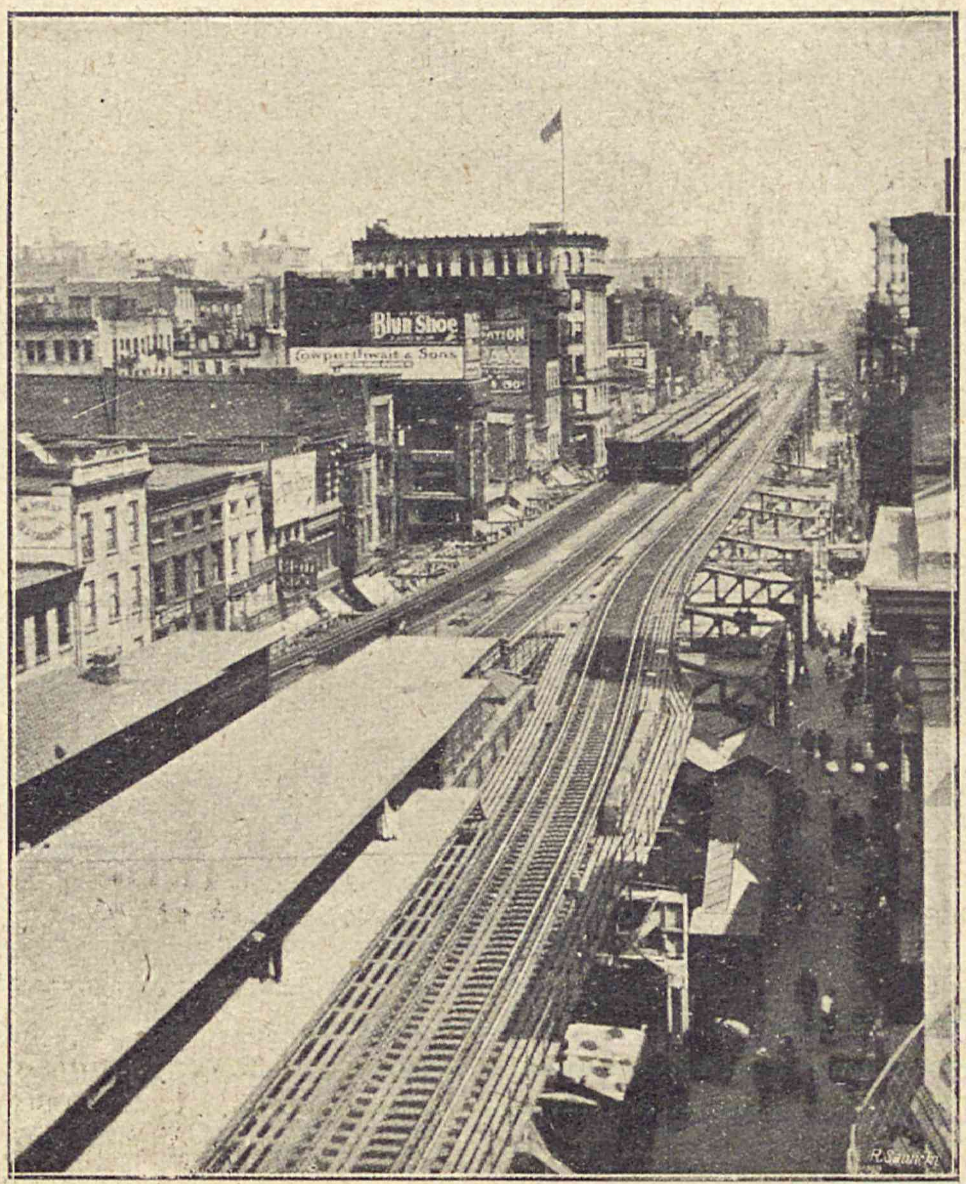
Jubileusz R. Zelazowskiego napewno w Polsce wywoła żywy odzew. Należy się bowiem hołd temu artyście i szczere uznanie dla dużej zasługi scenicznej i kulturalnej.

Jak radzą sobie wielkie miasta z komunikacją: Koleje napowietrzne w New-Yorku.

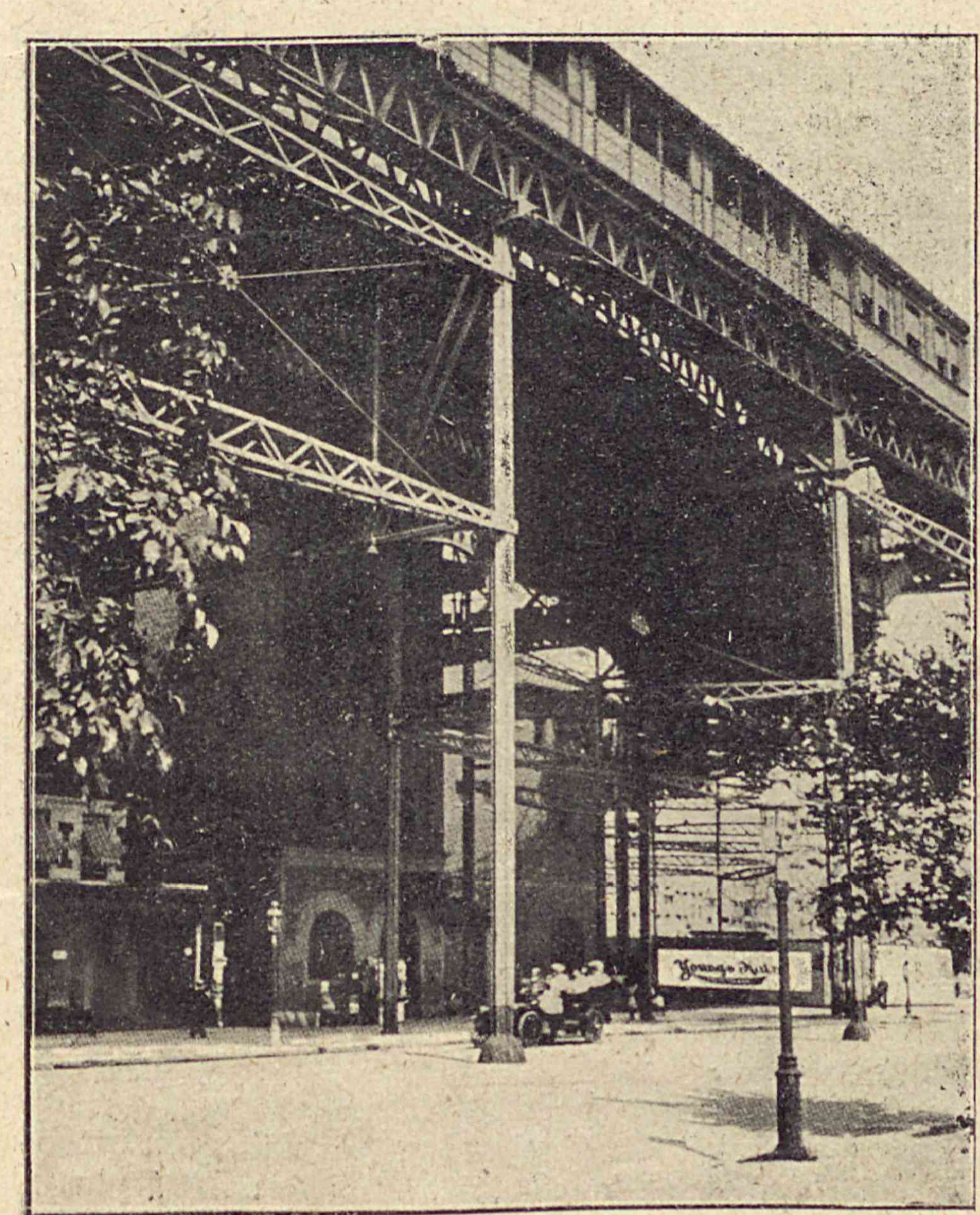
Gdy Londyn i Paryż trzymają się systemu kolei podziemnych, New-York coraz gęściej pokrywa się siecią kolei napowietrznych. Mają one już swoje tradycje: pierwsza zbudowana została jeszcze w 1867 roku. Obecna ich konstrukcja i organizacja budzi rzetelny podziw.



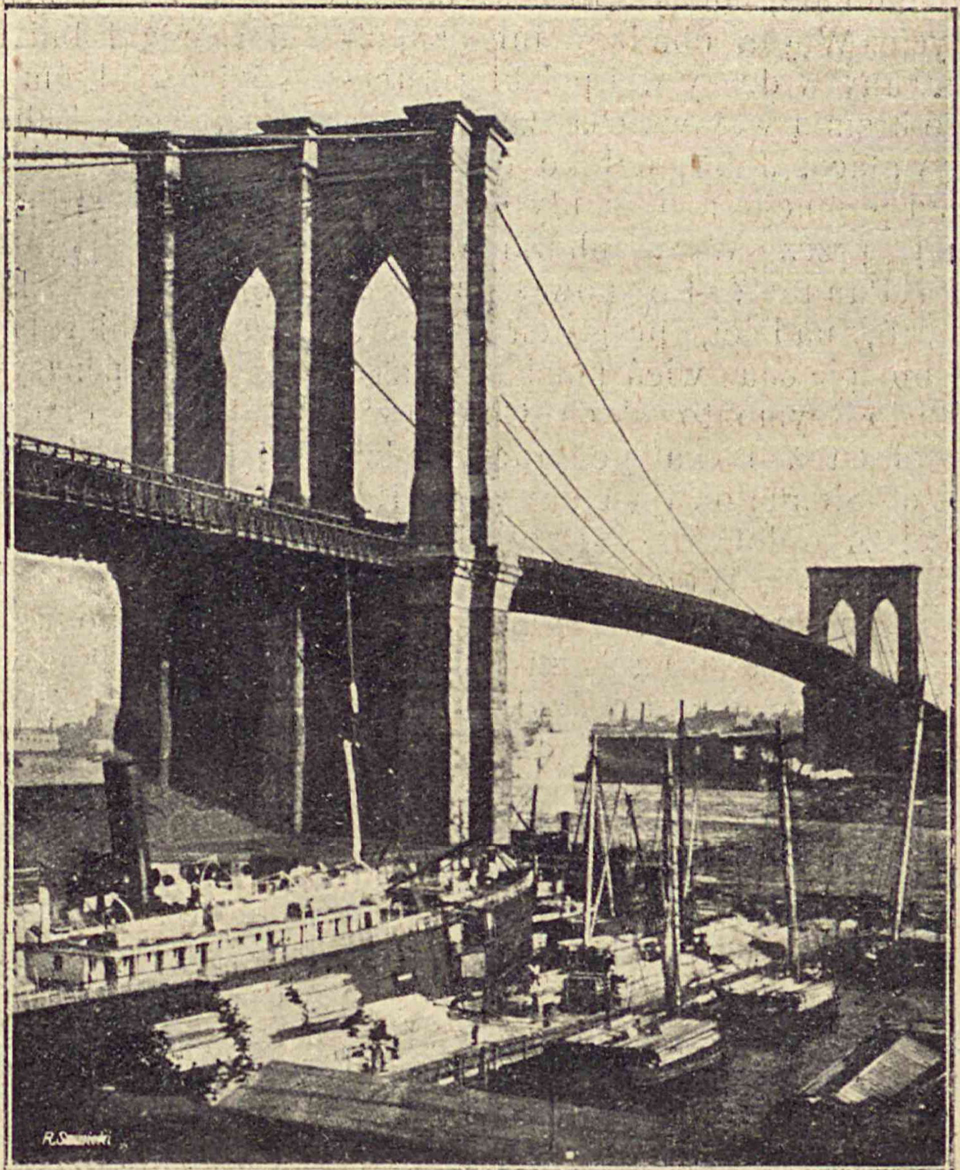
Tak wygląda elewacja kolei napowietrznej w New-Yorku przy słynnej „5-ej Avenue" na skrzyżowaniu z 34-ą ulicą.



Stacja kolei napowietrznej w New-Yorku w stadjum obecnem.



Elewacja na 110-ej ulicy w New-Yorku, wykazująca system konstrukcji.



Most Brooklyński, łączący Manhattan z Brooklyn na rzece Zachodniej.

WIOSENNE MODY LONDYŃSKIE.



Modele wiosennych okryć.

„SAMOSĘKI".

Wieś polska zmieniła radykalnie swój charakter w ostatnie lata. Nie jest to już malowidło obyczajowe barwne, żywe, rozpoetyzowane, kultywujące nieświadomie, instynktownie dawną tradycję. Wojna obudziła inne zupełnie struny w duszy wsi polskiej. Struny te brzmią wojowniczo, zachłannie, wyzywająco. Jakże daleko odbiegliśmy od pięknego świata idylli, wymarzonej przez Weyssenhoffa w „Sobolu i Pannie"? Ile nowych zainteresowań, nadziei, pragnień zawiera w sobie obecna wieś polska w stosunku do Reymontowskich „Chłopów"! Wyrosła też nowa generacja ludzi, jakże odmienna od tych dawnych Borynów! Z opłotków wsi polskiej wyszedł przecież Wincenty Witos, nowy, nieznany dotąd gatunek jaźni ludzkiej, zrodzonej na ziemi naszej.

Nie tylko chłopi jednak zmienili swoje oblicze. I szlachcic przez wojnę i walki Polski niepodległej przemienił dawną, niefrasobliwą swoją fizjonomję. Powojenna wieś polska nowem zagrała życiem, nową zaszumiała treścią. Baczny obserwator odnajdzie na tej wsi naszej całe gamy nowych spostrzeżeń tak natury socjalnej, gospodarczej, jak i psychologicznej. P. Adam Grzymała-Siedlecki, znany literat, na tem polu widzenia dostrzegł bogactwo obserwacji i postanowił je wyzyskać w sposób artystyczny. Ileż nieporozumień zabawnych i tragicznych zrodziła wieść o reformie rolnej! Ileż wesołych epizodów dostarczyli i dostarczają chłopscy przywódcy! Ile humoru dobrego budzą nasi panowie z dziada i pradziada osiedli na swoich Wólkach, Kaczych Dołach czy Samosękach!

P. A. Grzymała-Siedlecki na wydarzenia i ludzi ze swojej powieści spojrzał okiem pogodnem, choć groteskowem. Zabawny jest przecież taki mamut Obierzyński, mimo całą swoją niedolę, samotność, mizantropję. I jego bratanek, dziedzic Samosęków, dawny Kochinchinczyk p. Aleksander Obierzyński również nie wnosi nowych pozytywnych wartości. Jest śmieszny przez swoją nieporadność, bierność, upór, miłość dla Wikty, wreszcie jej matki. Chwilami robi on wrażenie zgoła egzotyczne. Potrafił o własnych siłach zdobywać dla siebie powodzenie w Kochinchinie, a gdy odziedziczył „Samosęki", zrobił się dosyć nieporadny, podobny do okolicznej szlachty. Człowiek, który widział kawał świata, daje się powodować jakimś Odsibom. Nie umie zdobyć się na akt rozumnej samoobrony, choć gdy zajdzie potrzeba, potrafi widłami przeżegnać chłopa. Pocóż więc jeździł aż do Kochinchiny ten szlachciura? Towarzystwo okoliczne przedstawia się trochę lepiej: nawet zwarjowana pani Anna z Owczysk umiała dobrze liczyć, znakomicie sprzedawać, choć zajmowała się spirytyzmem, buddyzmem, malarstwem. Ten rys praktyczności życiowej wyróżnia właśnie ziemiaństwo obecne. Dziadowie byli inni: szumiało im w czubach, temperamenty mieli zawadjackie —ale liczyć nie umieli. Obierzyński przyjechał z Kochinchiny, gdzie odbył ciężką szkołę życia. Czego nauczył się w tej egzotycznej krainie? Stryj jego był postrachem dla fornali, służby, gospodarował setnie. A on? Wyszedł z tych stosunków, zaciął się w swojej samotności. Począł robić głupstwo za głupstwem. Głupstwem jest przecież i jego miłość dla Wikty, dla jej matki, porady u niemądrego adwokata, pakty z chłopami. We wszystkich tych faktach tkwi pierwiastek mętności wyobrażeń o faktycznym stanie rzeczy. Człowiek, który przebył ciężką szkołę walki o byt, rozumuje konkretnie, szuka dróg jasnych, pewnych, nie posługuje się podejrzanem narzędziem, gdy stać go na pierwszorzędną broń tak moralną, jak i materjalną.

I dlatego walka Obierzyńskiego z chłopami kończy się niemądrze: ustępuje on w chwili, gdy wszystkie atuty miał w swojem ręku. P. Adam Grzymała-Siedlecki zadrwił tu ze swego bohatera. Zlekceważył całą jego tężyznę... fizyczną.

Z chłopów najplastyczniejsi są: Jaskolski i Ćwierciak. Szczególnie scena po wizycie u Obierzyńskiego, gdy Ćwierciak zmaga się ze śmiercią, budzi chwilami groteskowy humor. Wesołe są też epizody z panią Bitkowską, pouczającą gospodynię Obierzyńskiego, jak ma pozyskać jego względy i serce.

Fabuła powieści tej zamyka się w perypetjach uczuciowych Obierzyńskiego, prowadzących go w objęcia starszej pani Kasi. Jako tło służy zatarg dworu ze wsią o serwituty. P. Grzymała-Siedlecki nie spotkał ani jednego człowieka serjo w „Samosękach". Każdy z jego bohaterów jest groteskowy, śmieszny. Powieść więc o „Samosękach" jest raczej satyrą na stosunki obecnie panujące na wsi, a w pierwszym rzędzie chłoszcze ludzi. Według artystycznej wersji p. Grzymały-Siedleckiego, wieś współczesna nie pokazuje zbyt wielu pierwiastków poważnej pracy na przyszłość. Bo i ten jedyny dostrzeżony u pani Anny realizm mimo rozwichrzenia, pozytywizm mimo poetyzowania jest raczej groteskowy, niż twórczy.

Dotychczas p. A. Grzymała-Siedlecki znany był, jako krytyk literacki i komedjopisarz. Wydał swojego czasu tom nowel. Obecnie wydana powieść jest pierwszą opublikowaną pracą beletrystyczną na większą skalę.

Czy próbę tę należy uważać za udaną? Żywy tok narracji, plastyka opisów, swoisty humor czynią z tej powieści książkę zajmującą.

Eustachy Czekalski.

Najnowsza belletrystyka angielska.

W powodzi niezliczonych książek, co dnia prawie świeżo zjawiających się na półkach księgarskich, mało jest takich, które przejdą do potomności. Są to przeważnie przeciętne niezłe powieści, jakie od lat wielu produkuje liczny zastęp przeciętnych pisarzy i pisarek angielskich. Niema nic wybitnego, nic, coby nazwać można „książką sezonu". Ostatniem takiem zdarzeniem literackiem było „If Winter comes" Hutchinsona, a od tego czasu, oprócz pamiętników rozmaitych osobistości, pełnych zajmującego tylko Anglika materjału anegdotycznego, literatura angielska, jak prawie zresztą wszystkie literatury powojenne, nie daje czytelnikowi nic, coby nim wstrząsnąć mogło, coby mu pozostało miłem po przeczytaniu bodaj czas jakiś wspomnieniem. Jest to może taka lektura, jakiej żąda znużony polityką i zanadto bujnem w latach ostatnich życiem czytelnik. Lektura dająca zapomnienie i podniecenie na czas, kiedy książka przed nim leży, a pozostawiająca w umyśle wolną, niczem nie zamąconą przestrzeń na drugą i trzecią tego rodzaju książkę.

Dobrą reklamą dla książki pana Stephen Mc. Kenny był proces, który toczył się o prawa autorskie do niej. Książka ta, która w formie feuilletonu wychodziła w jednem z pism angielskich pod tytułem „Gloria", a która teraz zwie się „Vindication", miała niezwykłe dla angielskiego czytelnika epizody, dwa wiarołomstwa czy też uwiedzenia i ośmieszenie członka kościoła anglikańskiego. Nieodpowiednie te dla moralności swoich czytelników ustępy całkiem poprostu redaktor pisma poobcinał, a pan Mc. Kenna skarżył go o naruszenie praw autorskich. Przyszło do ugody, a teraz z pewnością dużo anglików, potępiających gazetę drukującą takie niemożliwe rzeczy, kupi sobie po cichu tę książkę, by cieszyć się i gorszyć zakazanemi epizodami. Postacie w książce p. Mc. Kenny dzielą się na dwie kategorje. Takich, którzy mają więcej pieniędzy, niż im na dobre wychodzi, i takich, którzy nie cofają się przed niczem, by dojść do tych pieniędzy i żyć w wielkim świecie. Jedynym szlachetnym charakterem jest Sir Norman Cartwright, który zmuszony jest wynająć historyczną siedzibę swych przodków nowemu bogaczowi Freddie Kendaile. Obaj ci ludzie kochają się w Glorji, której jedynym celem w życiu są pieniądze. Glorja kocha i poważa Normana, ale wychodzi za mąż dla pieniędzy za Freddie'ego. Norman też się żeni, a Freddie usprawiedliwia złe mniemanie, jakie Glorja ma o nim, uwodząc żonę Normana. Ojciec Glorji to także charakter nieszczególny, bo żyje z kart i pieniędzy swej kochanki. Ale „alliswell that ends well" i wkońcu oba małżeństwa się godzą i rozpoczynają „nowe życie"

Mr. John Galsworthy, najwybitniejszy może po Conradzie współczesny pisarz angielski, wydał zbiór nowelek pod tytułem „Captures" (zdobycze, pojmania). Nieliczenie się z rzeczywistością psuje wrażenie przeważnej ich części. Najwidoczniejszym jest ten błąd w najdłuższej z nowel „The Teut" (nieprzyjaźń, zatarg). Dwaj farmerzy Bowden i Steer pokłócil się o zastrzelonego psa. Nienawiść wzrasta, gdy syn Bowdena musi iść na wojnę i pada w walce — a Bowden i to nieszczęście przypisuje nieprzyjacielowi. Przy spotkaniu wybucha między nimi bójka, w której obaj padają nieprzytomni prawie na ziemię. W tej chwili słychaż dzwon kościelny, a Bowden, który dotychczas nie miał najmniejszego poczucia religijnego, wstaje, i odchodzi, mówiąc, że nie ma serca do nienawiści. Takie nawrócenie się jest zanadto mechanicznem, by było przekonywującem.

Bez względu na to, czy się jest gorącym zwolennikiem, czy również zapalonym antagonistą pana G. K. Chestertona, przyznać trzeba, że jego najnowsza książka „Francies versus fads" jest napisana jego najlepszym błyskotliwym a prowokującym sposobem. Już tytuł całego zbioru jest dla nas prawie że nieprzetłumaczalny i sam wiele mówi. Jak go przetłumaczyć „Fantazje przeciw zachciankom", czy „upodobania przeciw kaprysom", trudno powiedzieć. Któż inny, jak Chesterton, wpadłby na pomysł tytułu noweli „Nuda motyli". W niej to autor daje nam następujący zabawny opis poligamji: Poligamja jest tak nudną, że graniczy z przyzwoitością. Jeżeli mężczyzna ma tyle żon, ile papierosów i jednakowo je używa, z jego przeżyć tak samo nie skleisz książki, jak z rachunków papierośnika. Wszystko, co ma charakter tureckiego haremu, ma także coś z charakteru tureckiego dywanu. Nie jest portretem ani nawet obrazem, ale całkiem zwykłym wzorem.

Mr. Gilbet Collins w powieści swojej „The Valley of Eyes unseen" „Dolina oczu niewidzialnych" przypomina nam owe powieści tajemnicze Rider Haggard'a, które w generacji wstecz tyle budziły sensacji. Jest to fantastyczny opis dzikich przygód białych ludzi w Chinach, prześladowanych przez straszne stowarzyszenie i podróży w najtrudniejszych okolicznościach do nieznanej krainy, w głębi której żyją potomkowie dawnych Macedończyków czy Greków. Jest to powieść pełna bujnej fantazji, którą czytelnik czyta z równem napięciem, jak nsjbardziej zawikłane historje kryminalne.

Że naród, który wydał Conan Doyla, jest pierwszym w produkcji doskonałych powieści i nowel kryminalnych, to pewne; mnóstwo ich wychodzi corocznie i wszystkie znajdują chętnych czytelników. Pan Ernest Bramach napisał dalszy ciąg swoich nowel o ślepym detektywie pod tytułem „The Eyes of Max Carados", które są w swoim rodzaju małemi arcydziełami. Równie pełną napięcia jest powieść Jane Harding pod tytułem: The House of memory. Tu nie brak wszelkich elementów zwykłych w tego rodzaju strasznych opowieściach. Fałszywy testament, hypnoza, zbrodnia czy przypadek? Wszystko to jest fascynujące i przykuwa uwagę czytelnika pomimo, że wie, iż powieść ta najmniejszej nie posiada wartości. Mr. E. Phillips Oppenheim, którego specjalnością dotychczas były powieści kryminalne, tajemnicze szpiegostwa lub zawikłania dyplomatyczne, zapuścił się tym razem w dziedzinę humoru. Napisał lekką, zabawną i uroczą powieść, opisującą, jak dwaj miljonerzy nie umieją wydawać pieniędzy. „The inevitable millionaires" są to dwaj bracia, którym ojciec testamentem nakazał szukać przyjemności, wymagających szerokiego wydawania pieniędzy. Wolno im używać życia dowoli, z wyjątkiem gry na giełdzie lub na wyścigach. W pogoni za wypełnieniem woli zmarłego, bracia finansują najniemożliwsze przedsiębiorstwa, które niestety zawsze okazują się intratną inwestycją. Dopiero entrepryza małżeńska jednego z nich, w której urocza Peggy między śniadaniem a obiadem z łatwością wyrzuca 500 funtów, uwalnia braci od troski. Mr. John William Locke, autor słynnej książki „The beloved vagabond" w „Moordius i Co" opisuje nam międzynarodowego finansistę, który pod pozorami łagodności, szlachetności i zrozumienia artystycznego ukrywa charakter podły i okrutny.

Ów finansista Mordius wraz z Timothy Swayne są wspólnymi opiekunami młodej, bardzo bogatej dziewczyny Suzanne. Suzanne, wolą wuja, po którym odziedziczyła majątek, ma kolejno spędzać sześć miesięcy to u jednego, to u drugiego opiekuna. Obaj kochają się w niej, ale wkońcu nieśmiały ale szlachetny Swayne odnosi zwycięstwo nad intrygami Mordiusa. Rzecz dzieje się kolejno w Londynie, Paryżu, Montecarlo i prowincjonalnem miasteczku we Francji, co daje panu Locke sposobność do doskonałych opisów, a charakter Mordiusa jest świetnie nakreślony i wzbogaca galerję ludzkich typów z poprzednich powieści tego autora.

Wyliczone tu książki to tylko mała cząstka tych, które ukazały się w miesiącach ostatnich. Wszystkie one znajdują kupców, wszystkie przechodzą w licznych egzemplarzach do licznych wypożyczalni, a po krótkim czasie większość ich znajduje się na ławach antykwarjuszów i book-stalls, gdzie za parę pensów nabyć je może żądny chwilowej a taniej rozrywki czytelnik skromnemi tylko rozporządzający funduszami.

Londyn. *Lucy.*

Pięćdziesięciolecie maszyny do pisania.

W roku 1873 pojawiła się w Ilion, w Stanach Zjednoczonych Północnej Ameryki pierwsza maszyna do pisania. Wynalazcą jej był Christopher Latham Sholes, — pierwszym wytwórcą — Philo Remington.

Maszyna ta znana jako Remington model № 1, była pierwszym krokiem na drodze rozwoju tej tak wysoko dziś stojącej gałęzi przemysłu metalowego, pierwszym czynnikiem, który ożywił handel,



Model № 1

przyśpieszył tempo pracy biurowej, zwiększając jej wydajność.

Tkwiła w niej iskra myśli wielkiego człowieka.

Pod względem technicznym model ten nie mógł zadowolnić jeszcze całkowicie stale wzrastających wymagań. Toteż inżynierowie i mechanicy fabryki Remington, nie poprzestając na wprowadzonej na rynek nowości, zaczęli studjować zbudowaną podług projektu Sholes'a maszynę i wprowadzali stopniowo ulepszenia, dążące niezmienne do ułatwienia i uproszczenia pracy.

Wynikiem pięćdziesięciu lat wytrwałych badań i zastosowania odpowiednich zmian w konstrukcji jest wypuszczona na rynek w 1923 roku maszyna Remington model № 12, „Cichopisząca".

Prawie jednocześnie z maszyną „Cichopiszącą" pojawiła się maszyna do pisania „podróżna", — t. zw. „Mały Remington". Typ małych maszyn przedtem już był znany i nawet względnie rozpowszechniony. Maszyny te jednak posiadały po trzy znaki na czcionce, co zniewalał do ciągłego używania przekładni. Przytem i układ klawiatury odmienny był od układu dużych maszyn, trzeba więc było specjalnie się uczyć pisać na tej maszynie i największa wprawa osiągnięta przy pisaniu nie ułatwiała pracy na normalnej maszynie. Dopiero w ostatnich czasach fabryka Remington wypuściła na rynek swoją maszynę „Portable" — podróżną, *o 42-ch klawiszach*, z dwoma znakami na czcionce i normalnem układem klawiatury.

Maszyną tą może się posługiwać każdy piszący na dużej maszynie bez specjalnego przygotowania i odwrotnie.

Maszyna do pisania ułatwiła pracę urzędnika, oszczędzając jego wzrok i rękę i dając mu możność wykonania maksymalnej ilości pracy przy minimalnym nakładzie czasu i energji, a kierownikom zapewniła wzmożoną wydajność pracy sił pomocniczych, zmiejszając tem samem ilość zatrudnionych u nich osób.

Nie należy jednak wnioskować stąd, iż tem samem ujęty został sposób zarobkowania tym, którzy z pracy swej żyć muszą.

Szybsze pisanie listów rozszerzyło znacznie korespondencję każdej firmy i instytucji. Ożywił się przeto odpowiednio ruch pocztowy, pociągając za sobą zwiększenie personelu, a przez to samo pając licznym jednostkom możność zarabiania na życie.

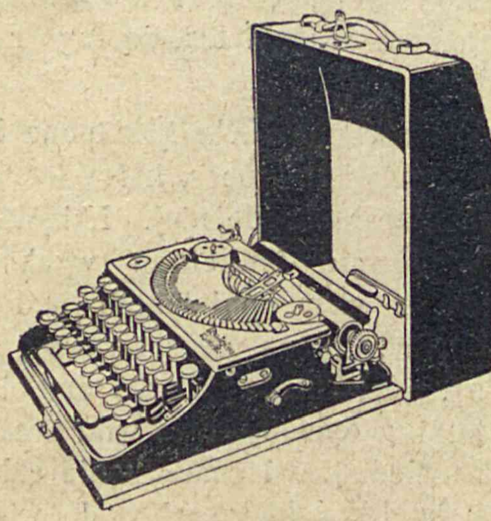


Model № 2

Przedewszystkie zaś zasługą maszyny do pisania było otworzenie kobiecie nowych dróg zarobkowania, wprowadzenie jej w życie handlowo-przemysłowe.

Przed pięćdziesięciu laty los kobiety, zmuszonej zarabiać na życie, był istotnie nader ciężki. Poza szyciem, gospodarstwem domowem i działalnością pedagogiczną, w charakterze nauczycielki domowej, kobieta nie miała możności zapewnienia sobie bytu. Dopiero panna Sholes, córka wynalazcy maszyny, która po wykonaniu maszyny pomysłu ojca pierwsza się nią posługiwała, była jakby pierwszą maszynistką i wślad za nią poszły inne kobiety.

Nie posiadając zasobu wiedzy niezbędnego do jakiejkolwiek samodzielnej



Model № 3

lub nawet pomocniczej pracy w dziedzinie handlu i biurowości, kobieta z początku nader skromne stawiała wymagania. Gotowa była zadowolnić się jaknajmniejszem, byle znaleźć pole pracy pozadomowej. Z biegiem lat dopiero, skoro prąd oświaty dążący w kierunku nietylko średniego, lecz nawet i wyższego wykształcenia ogólnego przeniknął szersze warstwy społeczeństwa, kobieta, która już w charakterze maszynistki próg biura przestąpiła, ujrzała możność wykazania swych indywidualnych zdoiności, odpowiednio do których daną jej jest możność osiągnięcia zarobku, zapewniającego niezależność i byt materjalny.

Jubileusz przeto 50-oletni firmy Remington obchodzony uroczyście w Iljon we wrześniu roku był w pełnem tego słowa znaczeniu jubileuszem maszyny do pisania — był ponadto pięćdziesiątą rocznicą nowego etapu w rozwoju niezależności ekonomicznej kobiety.

KONKURS PISANIA NA MASZYNACH.

Z inicjatywy Centralnego Związku Piszących na maszynach i Centralnego Związku Stenografów.



Pierwszy konkurs pisania na maszynach „Remington № 12". Pierwsza grupa 15 osób piszących na maszynach.



Panie Czesława Hudowa — z prawej strony, Jadwiga Bogdziewicz — z lewej strony, wygrały maszyny „Mały Remington" na losowaniu pomiędzy uczestnikami konkursu pisania na maszynach „Remington Nr. 12"

Konkurs odbył się na najnowszych modelach maszyn do pisania: „Cichy Remington". W konkursie wzięło udział 157 osób piszących, przeważnie kobiet.

1-szą nagrodę w postaci maszyny do pisania „Cichy Remington № 12" otrzymała panna Irena Surewiczówna, pracocowniczka Firmy Oleum, która w ciągu 5 minut napisała 2088 liter — co odpowiada 418 literom na minutę, a po odliczeniu punktów karnych — netto 408 literom na minutę.

2-gą nagrodę w postaci maszyny „Mały Remington" otrzymała panna Stanisława Aumüllerówna, pracowniczka Firmy Rohn i Zieliński.

Trzecim był p. Władysław Kowalczyk, współpracownik P. A. T, który napisał największą ilość liter ze wszystkich uczestników konkursu, bo aż 2235, jednak po odliczeniu punktów karnych wypadła przeciętna netto 374 litery i musiał zadowolnić się 3-em miejscem.

Rezultat tego konkursu daleki jest jeszcze od wszechświatowych zawodów rozgrywanych w Ameryce, gdzie Miss Marion C. Waner w ciągu 30 minut napisała na maszynie Remington *427* wyrazów.

Wieczory uczniów Konserwatorjum i „Pieśni" K. Szymanowskiego.

Jednem z najciekawszych wydarzeń ostatnich kilku tygodni naszego sezonu koncertowego były dwa wieczory, to jest III-ci Uczniów Konserwatorjum i Wieczór Pieśni K. Szymanowskiego. Z powodu nieprzewidzianych trudności technicznych oba te koncerty usuwają się niestety z pod rygoru właściwej oceny.

Orkiestra Uczniów Konserwatorjum gra w tak malej sali, w tak ciasnym „lokalu szkolnym", że ani słuchacz, ani orkiestrant, ani z pewnością dyrygent nie mogą znaleźć odpowiedniego dystansu dla wykonania, czy też celowego wysłuchania produkcji. Warunki akustyczne tej sali uniemożliwiają wszelki racjonalny osąd orkiestrowego zgrania i odcieni, — zwłaszcza gdy mowa o wykonaniu dzieła nowożytnej muzyki.

Sądząc z przedstawionej na III-cim koncercie uczniów II-giej symfonji Brahmsa, wnosić możemy, że uczniowie zgrani są dostateczni. Gwałtowna porywczość w akcentach, niechęć do piana, zamiłowanie w grubem, hucznem forte mogłyby iść na karb wykonawców, ale z równym skutkiem policzone być mogą na zło fatalnych warunków pomieszczenia. Jest to szczegół zbyt ważny, by wolno było nad nim przechodzić do porządku dziennego. Młodzi, niedoświadczeni muzycy mają wszelkie prawa do odpowiednich warunków pracy. Orkiestra uczniów nie powinna grać w sali, — która przeszkadza. Czyż nasze wielkie instytucje muzyczne nie mogłyby odstąpić, „pożyczyć" miejsca młodym adeptom, od których wyrobienia zależy przyszłość naszych zespołów?

Cóż dopiero mówić o młodych, początkujących kapelmistrzach? Obaj oni (Rutkowski i Rybicki) okazali dużo muzykalności (Rutkowski) i dużo techniki (Rybicki). Powinni jednak, po pierwsze, — móc się słyszeć, — co w sali Konserwatorjum, zwłaszcza przy Brahmsie, jest prawie niemożliwe, — po drugie, — móc przeprowadzić całą symfonję od początku do końca. Obdzielanie jedną symfonją dwóch dyrygentów mija się z celem.

Popisy solowe na tymże koncercie pokazane (kl. prof. Turczyńskiego i Heintzego) nie wykraczają poza poprawny szablon. Możnaby przy tych popisach wymagać poważniejszego repertuaru, któryby pozwolił zorjentować się w muzycznym rozwoju uczniów, nie zaś w osiągniętym poziomie dość względnej wirtuozerji.

Wieczór Pieśni K. Szymanowskiego nie mógł pozostawić właściwego wrażenia. Niedysponowana śpiewaczka i nieco skrępowany przy fortepianie kompozytor nie przyczynili się do celnego odtworzenia tych pieśni, w których duża wiedza i bezsporna oryginalność autora wciąż jeszcze walczą z wrogą muzyce, jakby nader literacką tendencją nastroju.

W Filharmonji, w trzech wielkich kierunkach muzyki francuskiej, niemieckiej i rosyjskiej, uprawianej z wielkim kunsztem przez Fitelberga, posunęliśmy się naprzód od Debussy'ego i Ravel'a do D. Milhaud'a (Serenada). Muzyka p. Milhaud'a zdaje się brać zupełny rozbrat z podziałem na konsonanse i dysonanse, nie zna żadnych w tym względzie granic, zresztą bardzo żywa i pomysłowa w rytmie. Czy poza „nowinkami" technicznemi ma p. Milhaud wiele do powiedzenia? Przypuszczamy, że tak, — że po za ostrą, niejednokrotnie do zgryźliwości posuniętą furją własnej palety dźwiękowej ukrywa się oblicze muzyka, który chwyta tempo i ruch współczesności.

jkb.

ARCYDZIEŁA MALARSTWA POLSKIEGO

na wystawie w Salonie A. Gutnajera.



JÓZEF CHEŁMOŃSKI. — „KOŃSKIE WYWCZASY".

Na obecną wystawę w dobrze miłośnikom sztuki znanym salonie przy ulicy Mazowieckiej 16 złożyły się cenne dzieła znakomitych mistrzów pędzla, wśród których jaśnieją dwie gwiazdy pierwszej wielkości, dwa nazwiska, promieniujące na świat cały: Józef Chełmoński i Aleksander Gierymski.

Jednoczesne zgromadzenie 15-stu kapitalnych płócien Chełmońskiego jest naprawdę niepowszedniem wydarzeniem w życiu artystycznem stolicy, to też zainteresowanie wystawą wzrasta z dnia na dzień.

Kolekcja powyższa to przeważnie prace, wykonane na obczyźnie, w Paryżu, gdzie Chełmoński spotkał się z tak wielkiem uznaniem i powodzeniem materjalnem, o jakich nie śmiał nawet marzyć w kraju ojczystym. Przybywszy do stolicy nadsekwańskiej po dłuższym pobycie na Ukrainie, gdzie zebrał przebogaty materjał w szkicach i notatach, artysta tworzy dzieła, nietylko chętnie nabywane przez znawców ale nagradzane złotymi medalami i odznaczane na wystawach światowych najwyższymi dyplomami honorowymi.

Francuska krytyka pisała o Chełmońskim z prawdziwym entuzjazmem, podziwiając w nim zjawiskowy talent o bujnym temperamencie i fenomenalnej technice, jaka się przejawia zwłaszcza w odtwarzaniu koni, jak to mówią „żywych i prawdziwych".

Szalonym iście rozmachem, tężyzną i bujnem życiem tchną z wirtuozowską pasją odtwarzane sceny z jarmarków końskich, gdzie świetne w rysunku konie, w otoczeniu dosadnych, dziś już wygasłych typów dziedziców, handlarzy, i parobków, zdają się wręcz wyrywać z ram obrazu! Bo też Chełmoński jest jednym z najświetniejszych animalistów współczesnych zaś malarzem koni—bez konkurencji. Jego przepyszne rumaki czy to w pełnym biegu („Przybycie na targ") czy też na postoju („Wywczasy końskie" i „Przed karczmą") zadziwiają prawdą i przykuwają oko miłośnika na długą chwilę. Jedna z takich przepysznych scen „Targ koński" otrzymała w Paryżu w roku 1886 Grand-Prix. Jakże pełnym werwy, zacięcia, świetnie podpatrzonej



JÓZEF CHEŁMOŃSKI. — „WRÓŻENIE".

charakterystyki i prawdy życiowej jest obraz p. t. „Wróżenie“. Malownicza grupa chłopska, słuchająca przepowiedni i wróżb na przyźbie, oddana jest z plastyką i tą szczerością, jaka tchnie ze wszystkich dzieł mistrza. Pełnemi świeżości i poezji są dwa, całkiem odrębne w charakterze dzieła: urocza sielanka „Babie lato“ i „Dziewczyna z dzbankiem“.

*

W sąsiedztwie przebogatej kolekcji Chełmońskiego widzimy trzy cenne płótna drugiego polskiego wirtuoza pędzla, Aleksandra Gierymskiego: jego dwa typy „Chłop“ i „Chłopka“ to dwa cenne dokumenty genjalnej twórczości. Jakże wymownym w swej prostocie jest przepyszny w kolorycie i nastroju dramatycznym obraz „Przed chatą”, którego reprodukcja ozdabia karty dzisiejszego numeru „Świata“.

Jeszcze dalej przykuwa uwagę dzieło jednego z najświetniejszych naszych, przedwcześnie zgasłych twórców, przepiękna „Niedziela Zielna“ Witolda Pruszkowskiego, pełen poezji i uroku swojskiego fragment z procesji w krakowskiem. Oprócz wyżej omówionych „chef d'oeuvre'ów“ widzimy na wystawie długi szereg płócien pierwszorzędnych malarzy dawnych i współczesnych: Aksentowicza, Brandta, Buchbindera, Breslauera, Bilińskiej, Bieszczada, Borucińskiego, Czachórskiego, Fałata, Gersona, Gałka, Hofmana, Kossaka, Kotarbińskiego, Kędzierskiego, Karniewskiego, Matejki, Malczewskiego, Mehoffera, Orłowskiego, Pankiewicza, Pawliszaka, Rapackiego, Rosena, Siemiradzkiego, Stanisławskiego, Stasiaka, Świeszewskiego, Szermentowskiego, Szwoynickiego, Tańskiego, Wierusza-Kowalskiego, Wygrzywalskiego, Wiśniewskiego, Zalewskiego, Ziomka i Żmurki.

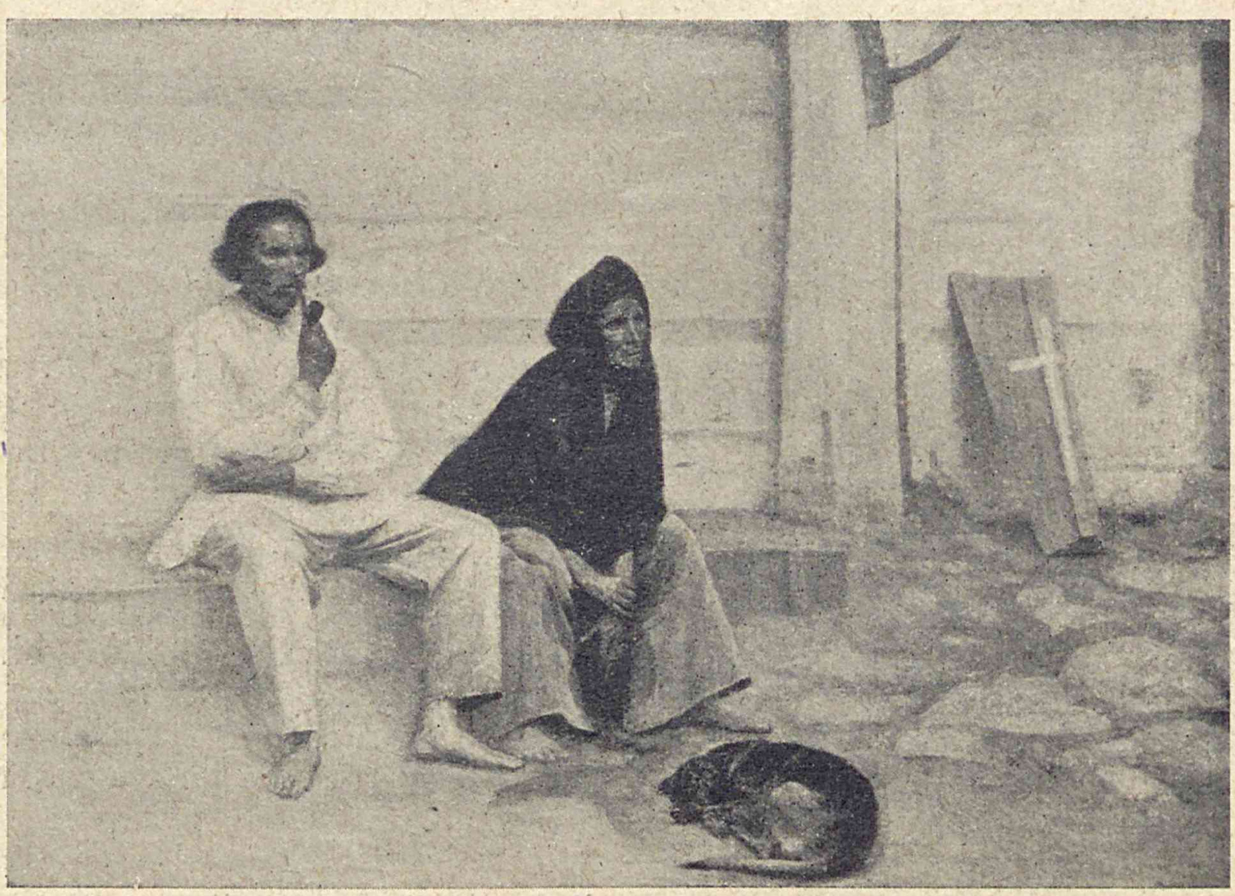
*

Należy podkreślić na tem miejscu celową pracę kierownictwa salonu sztuki i antykwarjatu A. Gutnajera. Fakt sprowadzenia do kraju kolekcji arcydzieł Chełmońskiego, której lwia część znajdowała się dotychczas na obczyźnie w paryskich zbiorach Fourniera, tranzakcji połączonej z niemałym nakładem pracy i kapitałów, zasługuje na uznanie.

Na wystawie panuje ruch ożywiony i większość eksponatów została już zakupioną przez naszych miłośników. Oby te cenne klejnoty rodzimego malarstwa przechodziły z pokolenia w pokolenie.

J. Gur.

Arcydzieła malarstwa polskiego.



ALEKSANDER GIERYMSKI. — „PRZED CHATĄ“.



JÓZEF CHEŁMOŃSKI .— „PRZED ZAJAZDEM“.



WITOLD PRUSZKOWSKI. — „NIEDZIELA ZIELNA“.

HOTEL, RESTAURACJA i CUKIERNIA
„MONOPOL" w Katowicach.

Wśród całego szeregu miast znajdujących się na Śląsku, a odzyskanych dla Polski Katowice są miastem najbardziej stołecznem — stosunkowo najmniej prowincjonalnem. Szczególne warunki geograficzne i polityczne, centrum wielkiego przemysłu, mocno pulsujące życie, różnorodność ludności — wszystko to nadaje życiu polonizującym się z iście amerykańską szybkością Katowicom, rozmach którego braknie innym naszym miastom prowincjonalnym Polski.

Nieżyczliwi nam w odzyskanej dla Polski części Górnego Śląska, pozwalają sobie mniemać że jesteśmy narodem indywidualistów. Zarzut ten słyszy się dość często, gdy jednak zważy się trudności z jakiemi przychodzi nam walczyć w organizowaniu naszego przemysłu i handlu i trudy ponoszone dla rozwoju tegoż, zarzut ten jest bezsprzecznie śmiesznym.

Indywidualność nasza potrafi się dostosować do ram organizacji — świadczy o tem przejęcie przed kilku tygodniami, Hotelu, Restauracji i Kawiarni „Monopol" w Katowicach który w dniu 13 stycznia b. r. przeszedł w polskie ręce. Właścicielami Holelu „Monopol" są p. p. J. Smoleński i G. Poisel z Warszawy którzy Hotel ten wydzierżawili na lat 6 kupując wszystko urządzenie Hotelu, Restauracji i Kawiarni.

Przedsiębiorstwo to jest jednym z największych tego rodzaju przedsiębiorstw w Katowicach. Hotel posiada 92 pokoje z komfortem umeblowane i zatrudnia personel przeszło 120 osób.

Po przejęciu Hotelu przez nowych nabywców i gruntownem odnowieniu, zaprowadzeniu kuchni warszawskiej, wybudowaniu piekarni według ostatnich wymagań techniki, sprowadzeniu fachowego personelu tak do kuchni jak i piekarni w dniu 19 stycznia b. r. o godz. 6 wieczorem przy licznym udziale zaproszonych gości miejscowy ks. prob. Kubina dokonał poświęcenia i uroczystego otwarcia „Monopolu". W licznie zebranym gronie miejscowych władz i inteligencji na uroczystości byli obecni: Wojewoda Konecki, vice-wojew. Żurawski, Marszałek Sejmu Śląskiego Wolny oraz artyści Opery Warszawskiej którzy byli wówczas na gościnnym występie w Katowicach i którzy zawsze przyjeżdżając do Katowic w Hotelu „Monopol" znajdują wygodne pomieszczenie,

Nowym właścicielom chodzi przedewszystkiem o to aby dać publiczności smaczne pożywienie, doborowy trunek, i rzetelną usługę. W Katowicach przepsiębiorstwo to posiada wielkie pole do popisu zawodowepo. „Monopol" jednak znajduje się w najpiękniejszym położeniu miasta vis a vis Dworca Kolejowego rozgłos jego zaś znanym jest wszędzie, przyjezdni wyznaczają sobie w nim miejsce spotkania. Codziennie uprzyjemnia gościom spędzenie czasu starannie dobrany zawsze koncert.

Intensywność pracy, doborowość produktów, niefałszowanie potraw, smaczność dań i zdrowotność — oto wytyczne jakiemi posługuje się obecny zarząd „Monopolu".

Z wielką też satysfakcją i uznaniem powitał ogół śląski przejście tego Hotelu, Restauracji i Kawiarni w polskie ręce, usługę bowiem nowi właściciele zorganizowali na wzór pierwszorzędnych restauracji europejskich. Publiczność śląska odrazu nabrała przekonia do wysokiego poziomu przyrządzania potraw i pieczywa w „Monopolu".

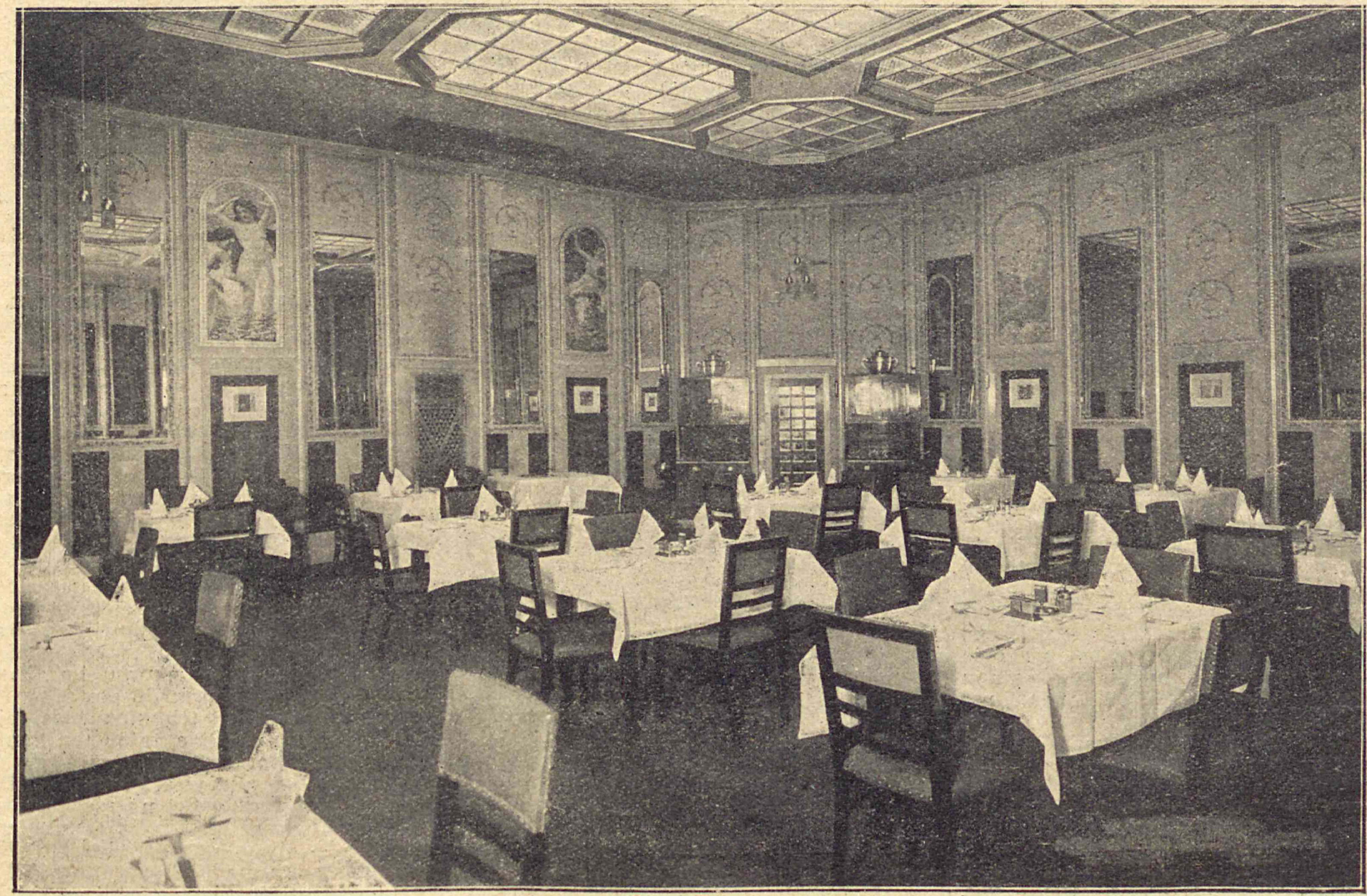
Wytyczne te i na przyszłość będą busolą w pracy obecnego kierownictwa, a powodzenie stale sprzyjać będzie temu przedsiębiorstwu.



Ulica Dworcowa, w Katowicach przy której znajduje się gmach Hotelu „Monopol".



Cukiernia.



Restauracja.

„NASI LAUREACI".

Wśród naszej współczesnej produkcji wydawniczej tak, niestety, ubogiej i znikomej, jeśli chodzi o nowości wojskowe, o nowe oryginalne utwory naszych polskich autorów — prawdziwe żywe zainteresowanie budzi *biblioteka Naszych Laureatów*, której *trzy pierwsze tomy* świeżo pojawiły się w witrynach księgarskich. Nowe to wydawnictwo podjął znany, wielce ruchliwy i aktywny Instytut literacki *„Lektor"* we Lwowie, objawiający z roku na rok coraz wyższe i szlachetniejsze ambicje wydawnicze.

Produktem właśnie tych chwalebnych, wyższych ambicji wydawniczych jest Bibljoteka Naszych Laureatów, która obejmować będzie jedynie *polskie, oryginalne utwory beletrystyczne*, nagrodzone i wyróżnione na *konkursach literackich „Lektora"*.



W tym celu Główny Zarząd „Lektora" zainicjował szereg konkursów literackich na wymienione typy twórczości. Że myśl była szczęśliwa dowiódł już pierwszy *Konkurs literacki im. Gabrjeli Zapolskiej*, urządzony przez Zarząd „Lektora" w ubiegłym roku. Konkurs ten wywołał ochoczy odzew ze strony piszących i wydał plon zgoła nadspodziewany. Nadesłano nam kilkadziesiąt rękopisów powieści, nowel, poezyj i dramatów—a sąd konkursowy, złożony z wybitnych literatów: *K. Irzykowskiego, Z. Kisielewskiego* wydelegowanych przez Zaw. Związek Literatów Polskich i *J. Jedlicza*, referenta literackiego „Lektora", uznał plon tego konkursu za wysoce pomyślny. Przyznał też nagrody sześciu utworom *czterem powieściom, jednemu zbiorowi poezyj i jednemu dramatowi* — ponadto *wyróżnił* zaszczytnie szereg utworów we wszystkich działach. W motywach oceny, które ogłoszono publicznie w pismach, jurorowie zgodnie stwierdzili: „Plon literacki konkursu uważamy za nadspodziewanie pomyślny, zwłaszcza w dziale powieści i liryki... Wbrew dotychczasowemu zwyczajowi sąd konkursowy wyróżnił znaczną liczbę utworów, aby zamanifestować, że zadaniem konkursów jest nie dawać stopnie, lecz wyszukiwać ziarna twórczości, choćby się kryły w dziwacznej lub niepozornej łupinie. Polska polityka literacka winna od „systemu gwiazd" przejść do wytwarzania „silnego stanu średniego" literatury — co jednak nie znaczy, żeby popierać miernoty...

Najlepsze zaś utwory z pośród plonu konkursowego, t. j. *nagrodzone* i niektóre *wyróżnione*, Zarząd „Lektora" zakupił u autorów i, w miarę możności, wydaje je, jako *pierwszą serję Bibljoteki „Naszych Laureatów"*. Ta pierwsza serja obejmuje powieści:

„Miasto Zwierząt" Wandy Melcer-Rutkowskiej (I nagroda).

„Rękopis Ulrycha Branda" Mieczysława Weinerta (II nagroda).

„Niespodzianki" Aurelji Wyleżyńskiej (III nagroda).

„Zrodzeni na jednej ziemi" Elżbiety hr. Dębickiej (IV nagroda).

„Czarny pies" Jana Stycza zaszcz. wyróżnienie).

„Rodzina Drewnowskich" Juljana Wasiutyńskiego (wyróżnienie).

nadto poezje:

„Drabina do gwiazd" Stanisława Czernika (IV nagroda).

Świeżo właśnie ukazały się na rynku księgarskim trzy pierwsze powieści nagrodzone, a należą one bezwarunkowo do najlepszych polskich utworów beletrystycznych ostatniej doby. Pierwsza z nich „Miasto Zwierząt" pióra znanej już zaszczytnie autorki, Wandy Melcer-Rutkowskiej, to utwór zarówno pod względem treści, jak i stylu, nawskroś świeży i oryginalny, to jeden z pulsów współczesnego tętna fermentującej cywilizacji europejskiej. Triumfatorską i tragiczną ofiarą tej cywilizacji, wyrafinowanej i nawskroś materjalistycznej, jest bohaterka powieści, *Lulu*, artystka kinematograficzna, świetnej urody i światowej sławy. W polskim czytelniku powieść wzbudzi tem żywszy interes, iż Lulu jest Polką ze sfery ziemiańskiej, pochodzącą z Poznańskiego. Niezwykłość przeżycia i losy tej zamaskowanej Polki są treścią „Miasta Zwierząt" — akcja rozgrywa się przeważnie w Paryżu i Londynie — sama zaś powieść jest owocem wybitnego talentu i subtelnej kultury literackiej.

Niezwykłe głębie etyczno-psychologiczne odsłania powieść drugiej laureatki konkursu Zapolskiej, p. t. *Rękopis Ulrycha Branda* (pod pseudonimem „Mieczysław Weinert" kryje się młoda autorka *Eugenja z Bierońskich Weinertowa).* Powieść ta jest wręcz niepospolitem zjawiskiem w literaturze polskiej i wywoła zapewne poważny oddźwięk w krytyce i opinji literackiej. Niedawno poświęcił jej obszerny feljeton Z. Kisielewski (w „Robotniku"). „Jest zjawiskiem rzadkiem — pisze on — by autor, występujący z pierwszym swoim utworem, odrazu zaznaczył się tak odrębnie, jako indywidualność... Mieczysław Weinert w swej fascynującej fizjonomji pisarskiej nie ma nic wspólnego z jakimkolwiek innym polskiem powieściopisarzem. Powieść jego jest nawskroś nowoczesna, chociaż bez hałaśliwych etykietek nowoczesności... Zarówno problem centralny, jak inne rozgałęzienia konstrukcji wyrastają z najgłębszych pokładów człowieka dzisiejszego, z poszukiwań i prób tragicznych wytężonej myśli badawczej, palącej potrzeby rozwiązania fundamentalnych pytań kultury europejskiej i zagadnień społecznych... Tłem akcji są współczesne



Niemcy powojenne, a kanwą ideową rewolucja Spartakowców, jej podłoże etyczno-społeczne, tragiczne zmaganie się nowego człowieka z nieugiętym duchem pruskiego militaryzmu — wszystko ujęte przedziwnie głęboko i artystycznie, ze świetną znajomością stosunków i zagadnień wiedzy współczesnej, z pierwszorzędnym talentem analizy psychologicznej, stylem barwnym, przejmującym, nawskroś swoistym. Rzecz rozgrywa się w Berlinie i w sanatorjum sławnego neurologa, d-ra Berga, pod Berlinem. Bohaterka powieści, Krystyna, żona straconego przez sąd wojenny komunisty — przepysznie narysowana postać kobieca, która popadła w psychozę, leczy się u d-ra Berga i stopniowo zaplątuje starego mędrca w demoniczny świat swej „fikcji"



mistycznej, doprowadzając go, do zbrodni i śmierci. Więc nietylko tragedja dusz ludzkich, lecz także dumnej wiedzy współczesnej w starciu ze sferą pozaświadomą, metapsychiczną... Zadziwia dojrzała konstrukcja powieści, jej zwartość i spoistość, przemyślenie i pogłębienie każdego szczegółu.

Trzecia nagrodzona powieść: *„Niespodzianki" Aurelji Wyleżyńskiej* przedstawia wielce zajmujące dzieje i losy dwóch młodych małżeństw ze sfery wielkomiejskiej inteligencji i świata artystycznego. Głównym wątkiem narracji są tu przeżycia młodych kochających mężatek, przed którymi życie odsłania coraz groźniejsze niespodzianki w pożyciu kobiety i mężczyzny, coraz bardziej skomplikowane zagadnienia małżeńskie doby obecnej. Całość kreślona z prawdziwym talentem i znajomością życia i nieposlednim darem narracji, przykuwa uwagę czytelnika. — Jak wynika z zapowiedzi „Lektora", czwarta z rzędu powieść w serji „Naszych Laureatów": *„Zrodzeni na jednej ziemi" Elżbiety hr. Dębickiej* — mająca się wkrótce ukazać — przyniesie malowniczy pełen grozy obrazek stosunków i krwawych walk polsko-ukraińskich we wschodniej Małopolsce (w r. 1918—1919), wysnuty z własnych przeżyć i obserwacji autorki. Zaciekawia już sam temat, nietknięty dotąd przez żadnego z naszych powieściopisarzy.

Już z tych ogólnikowych omówień widzimy, że plon konkursu im. Gabrjeli Zapolskiej jest naprawdę poważny i cenny, co więcej: jest triumfem polskiej kobiety piszącej... Ogłaszając ten konkurs, Zarząd „Lektora" miał szczęśliwą rękę i dzielnie przysłużył się rodzimej literaturze — zasługuje też na rzetelne uznanie. Oby pomyślniejsze stosunki wydawnicze — obecnie tak trudne i ciężkie— pozwoliły mu, nadal kontynuować Bibljotekę *„Naszych Laureatów"* i — jak najrychlej ogłosić nowy konkurs.

Stała Wystawa Kwiatów w Warszawie.

W pięknym, specjalnie wybudowanym wedle planów i pod kierunkiem architekta p. W. Konowicza pawilonie przy ulicy Królewskiej № 11 ozdobionym dyskretnemi w tonie freskami artysty malarza Robaka-Robaczewskiego zajęła od niedawna pomieszczenie stała wystawa kwiatów stworzona przez znanego zawodowca w dziedzinie ogrodnictwa p. Rajmunda Szymborskiego. Duży salon oświetlony w dzień górnem światłem, wieczorem zaś zalany blaskami elektryczności, urządzony z wytwornym smakiem artystycznym zapełniają efektownie rozmieszczone wspaniałe okazy roślin egzotycznych oraz barwne pełne kwiecia rośliny doniczkowe. W dwóch bocznych długich cieplarniach stoją rzędem obok siebie przepyszne okazy cyklamenów, azalje wszelkich barw, bzy, kamelje, cynerarje, pierwiosnki, palmy krajowej hodowli, słowem nieprzebrane bogactwo kwiecia i zieleni.

Młody energiczny właściciel fachowo wykształcony we Francji i w Ameryce ma już znane w tej dziedzinie nazwisko jako kierownik wielkich zakładów hodowli kwiatów istniejących od stu lat przy ul. Powązkowskiej № 22- urządzonych na wskroś nowocześnie, rozporządzających sztucznemi deszczowniami amerykańskiemi na całym terenie ogrodu, 25 cieplarniami i centralnem ogrzewaniem, szkółkami krzewów ozdobnych i t. p. Objąwszy ten interes z rąk rodziny po powrocie z Ameryki p. Szymborski rozwinął go nadzwyczajnie i postawił naprawdę na europejskim poziomie, dowodem uznania były odznaczenia jakie zdobył w latach ostatnich. W roku 1922 w Warszawie firma nagrodzona została dyplomem uznania, medalem złotym, srebrnym i dwoma bronzowemi, w roku 1923 medalem złotym w Warszawie i dyplomem uznania we Włocławku.



P. Rajmund Szymborski.

— Co naprowadziło pana na myśl zorganizowania stałej wystawy kwiatów — zapytujemy p. Szymborskiego.

— Jako prezes koła kwiaciarzy hodowców przy Tow. Ogrodniczem Warszawskim, jako sam hodowca i obywatel rozumiejąc doniosłość rozwoju produkcji krajowej byłem zawsze zawziętym przeciwnikiem importu gotowych kwiatów z zagranicy. Publiczność kupująca importowane kwiaty wzbogacała li tylko hodowców zagranicznych, podczas gdy sprzedaż tych samych kwiatów wychodowanych na miejscu pomnażałyby majątek kraju. Wychodząc z tego założenia dążyłem od szeregu lat do powiększenia zakresu hodowli krajowej i udoskonalania jej. Następnym etapem pracy musiało być stworzenia plucówki w postaci stałej bezpłatnej wystawy kwiatów, jako miejsce zbytu swojej własnej i innej krajowej produkcji. Bezpośrednie zetknięcie producenta z odbiorcą daje możność szerokim kołom nabywania kwiatów z pierwszego źrodła, bez kosztów pośrednictwa, przez co uprzystępnia posiadanie kwiatów i wzbudza zamiłowanie do nich.

— Czem się tłumaczy taniość na stałej wystawie?

— Hasłem stworzonej przeze-



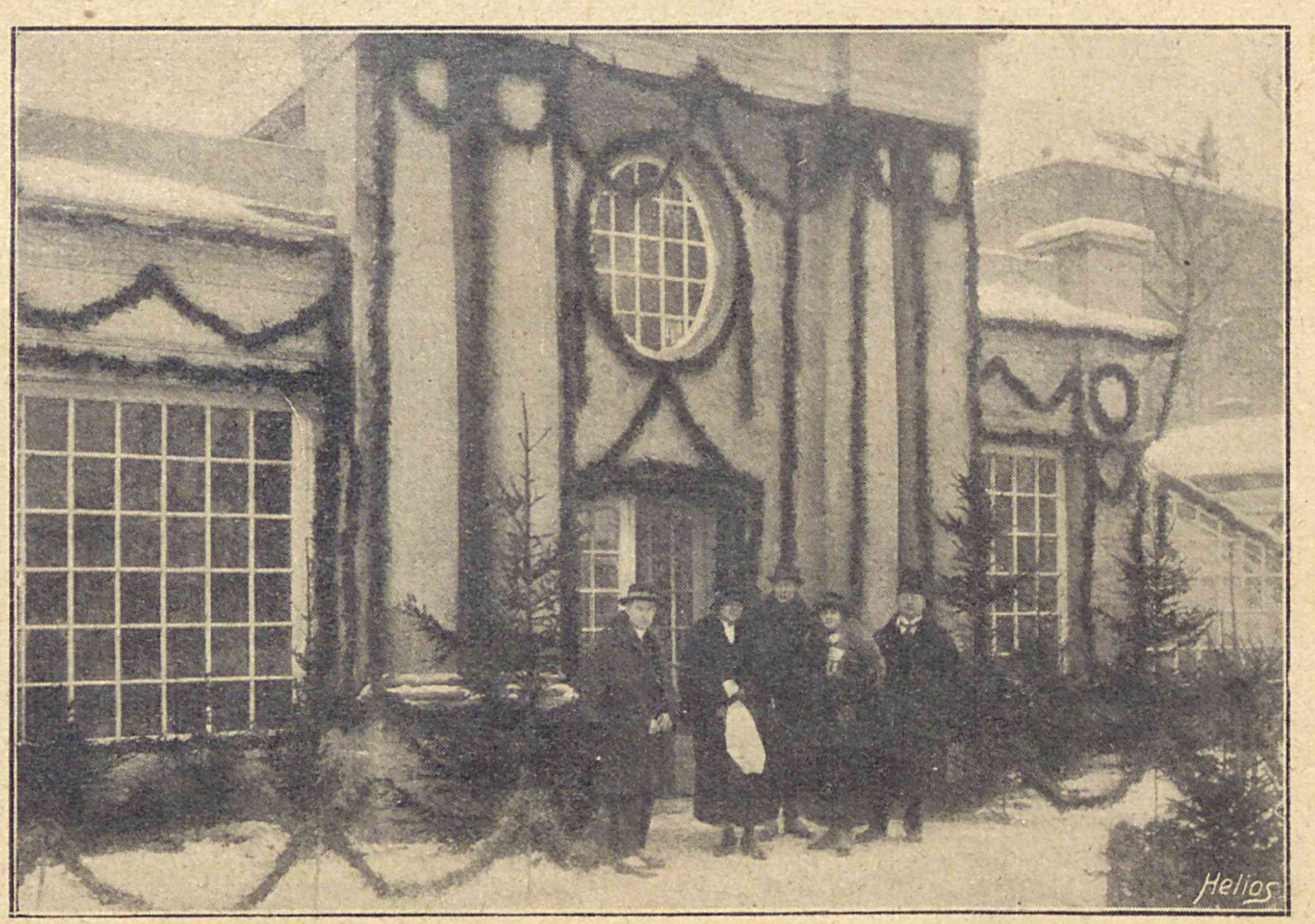
Poświęcenie wystawy. 1. P. Władysławowa Grabska, żona prezydenta gabinetu, 2. p. Rajmund Szymborski, 3. p. Marja Szymborska, 4. p. Edmund Jankowski, 5. p. Piotr Hoser, 6. p. Wiłoczyński, przedstawiciel P. K. O. Fot. J. Malarski.

mnie wystawy kwiatów jest duży obrót mały zysk. Idea ta jak wogóle i zamiar rozwoju krajowej hodowli spotkały się z wielkim uznaniem Pana Ministra Skarbu, Ministerstwa Rolnictwa i z uznaniem i poparciem Pocztowej Kasy Oszczędności. Publiczność odniosła się do mojego przedsięwzięcia również bardzo sympatycznie.

Istotnie począwszy od chwili otwarcia w dniu 21 lutego zainteresowanie wystawą kwiatów jest w Warszawie bardzo znaczne. Wystawę otwartą od godziny 9 rano do 8-ej wieczorem zwiedza dużo osób zarówno w dnie powszednie jak w niedziele i święta. Ruch sprzedażny rozwija się bardzo pomyślnie, co raz też powszechniejsza jest opinja, że na wystawie kwiaty są tańsze niż gdzieindziej, że wybór kwiatów jest nadzwyczajnie bogaty, że kwiaty są świeże nie zmęczone a dzięki temu lepiej się trzymają.

W stałej wystawie kwiatów przy ul. Królewskiej 11 pozyskała

Stała Wystawa Kwiatów w Warszawie.



Fronton Wystawy Kwiatów przy ul. Królewskiej nr. 11. Fot. J. Malarski.

Warszawa pożyteczną instytucję nie tylko pod względem przemysłowo-handlowym ale i kulturalnym, bo przyczynia się ona niewątpliwie do szerzenia umiłowania piękna wśród mieszkańców stolicy.

M.

Ś. p. Zofja z Bielskich Hartinghowa.

D. 20 b. m. zmarła w 72-gim roku, życia ś. p. Zofja Hartinghowa, żona ś. p. Konstantego, byłego powstańca z 1863 r.



Ś. p. Zofja z Bielskich Hartinghowa.

naczelnego dyrektora Huty Bankowej. Dom Hartinghów znany był dobrze w całej Warszawie ze swej gościnności, gromadził bowiem przez długie lata śmietankę inteligencji, sfery naukowe i ziemiańskie. Ś. p. Zofja była rzadkim typem kobiety łączącym w sobie wysoką kulturę umysłową z sercem oddanem bliźnim, współczującem gorąco ludzkiej niedoli. Obdarzona zdolnościami literackiemi, ś. p. Hartinghowa pozostawiła po sobie kilka prac oryginalnych, jako to: „Bohaterski Neruś", „Przewodnik po ziemi kaszubskiej", „Wiązanka majowa", pełną polotu książkę do nabożeństwa p. t. „Z głębokości wołam do Ciebie, Panie!", kilka tomów pokłosia myśli, zebranych z różnych autorów: „Ku Światłu", „Wieczorne Blaski", „Co mi powie dzień dzisiajszy". Doskonale władając obcemi językami, przełożyła dużo dzieł wartościowych, cieszących się powodzeniem, n.p. Mulford'a „Niewyzyskane siły", Taine „W harmonji z nieskończonością", oraz powieści angielskie dla dorosłych i dla młodzieży. Umysł zmarłej, pomimo późnego wieku, zachował do końca świeżość i bystrość iście młodzieńczą; zarówno kwestje abstrakcyjne, jak społeczne, zajmowały ją żywo; ciężkie ciosy doznane w życiu, nie rozgoryczyły jej, lecz przeciwnie, skierowując myśl ku zaświatom, jeszcze bardziej uszlachetniły jej duchowość. To też do ostatniej chwili salon ś. p. baronowej stanowił ostoję dla ludzi szukających czystych i jasnych wrażeń; każdy wychodził zeń pokrzepiony, jakby dobremi fluidami płynącemi od tej zaziemskiej postaci.

Cześć pamięci niezapomnianej wielbicielki dobra i piękna na ziemi, stosującej w czynie zasadę: „Miej słońce w sercu"...

Ś. p. Emilja Ludwikowa Śliwińska.

Dnia 21 lutego r. b. zmarła w Warszawie ś.p. Emilja z Kratzerów Śliwińska, wdowa po znanym reżyserze i dyrektorze



operetki Ludwiku. Przez 40 lat wzorowego pożycia małżeńskiego była idealną towarzyszką życia i pracy. Teatry farsowy i operetkowy grywały tłomaczenia przeważnie jej pióra. Poza sztukami teatralnemi tłomaczyła również dzieła naukowe i beletrystyczne.

Obdarzona wdziękiem i słodyczą prawego charakteru, wyjątkowym taktem i podniosłą szlachetnością, była ogólnie szanowana i szczerze lubiana, przez wszystkich, którzy mieli sposobność poznać Ją. Pozostawiła też po sobie jaknajlepszą pamięć i szczery żal.

ZŁOTE GODY.



P. Marja Neuman.



P. Salomon Neuman.

Znany w sferach finansowych bankier i obywatel Warszawy Salomon Neuman oraz małżonka jego Marja z Wawelbergów, wybitna działaczka na polu filantropijnem, obchodzą 9-go b. m. uroczystość złotych godów małżeńskich.

REFLEKSJE POKARNAWAŁOWE.

Przebrzmiały ostatnie akordy tanga milanga, wyskokowej jawy, sentymentalnego bostona, pospiesznego stepa i niemasz karnawału.

Fraki odeszły na letnie leże (co troskliwsza gospodyni przesypała mężowski frak pieprzem, solą i naftaliną), suknie—suknie się skończyły. Lamy, brokaty oraz inne części składowe balowych toalet pocięte na serwety lub przeistoczone w poduszki, makatki zdobią buduary i gabinety, mężom na chwałę, a także jako *memento*, że suknie nie są do przerobienia.

„Można przerobić męża, nigdy suknię", dewiza najpiękniejszej warszawianki, którejby się nie powstydziła najautentyczniejsza paryżanka, dewiza wypowiedziana na balu gazowym zyskała ogromny aplauz w kole wytwornych dam stolicy. Wobec tego ofiarne, jak zwykle, panie postanowiły na poparcie Skarbu Narodowego utworzyć listę ofiar z własnych sukien. Ze szmatek będzie papier—a na papierze wydrukuje się coś bardzo użytecznego. Poczem każda warszawianka będzie mogła się cieszyć, że jej suknia, to jest ona sama, tkwi w którejś akcji. „Wszystko co miałam oddałam na Skarb, a nago chodziła nie będę"—rzeknie do męża, o ile, oczywiście, będzie musiała upozorować potrzeby nowych fatałaszków.

„Tyle materjału, a tak mało tej sukni widać", skarżył się mąż (oczywiście mąż, tylko mąż skarży się) na jednym z reprezentacyjnych bali.

„Najbardziej reprezentacyjne są dekolty" odpowiedział dyplomata, który wie wszystko najlepiej. I w rzeczy samej, spójrz człowieku na dwa, trzy, cztery dekolty kobiece, a będziesz mógł ocenić dobrobyt danego kraju.

„Dekolty kobiece są nietylko reprezentacyjne, ale też orjentacyjne"—zaopinjował polityk.

„Dekolty kobiece"... westchnął tylko poeta. Poeci wzdychają. Stanowczo za wiele tego wzdychania. Wszystkie kobiety są tego zdania. Wzdychaniem nie można zastąpić żadnego *shimmy*, ani szklanki lemoniady. Być może w poście.

Właśnie na sezon postny szykują się najrozmaitsze przedsięwzięcia intellektualne i tym podobne.

„Co będziesz robiła w poście?"—pyta przyjaciółka przyjaciółkę.

„Przetańczyłam *z nim* cały karnawał, będę się starała przepościć z nim do świętego Józefa".

Jeżeli się nie ma żadnego obowiązku względem nikogo, to sezon pokarnawałowy przedstawia się jeszcze gorzej. Roztańczone nogi trzeba przyzwyczajać do tempa bardziej dostojnego, i—w dodatku trzeba koniecznie zapomnieć, jak się tańczyło, bo napewno z nadejściem wiosny przyfruną pierwsze ptaszki z Nizzy i powiedzą: „w Europie nie tańczy się" jawy, shimmy, bostona—tylko... nowe".

„Nasi za granicą", a jest ich teraz mnóstwo na włoskiej i francuskiej Rivierze, są napewno mili, przyjemni i w miarę możności reprezentują ojczyznę za granicą, ale po powrocie do Warszawy przybierają ogromnie protekcyjny ton względem biednej Warszawki, oraz jej mieszkańców. Wystarczy wietrzyć się przez tydzień w Wiedniu, Paryżu, czy Monte Carlo, ażeby potem przez pół roku krytykować stolicę, rząd, mody, przekonania polityczne, kapelusze, tramwaje, restauracje, pogodę, zabawy, obuwie, teatry i wogóle wszystko.

„A w Paryżu—zaczyna piękna pani—nie noszą długich sukien, wąskiego obuwia, kostjumów trykotowych, kloszów, koszul...

I taka brzmi w tych słowach pogarda, że innej pięknej pani, która posiada sześć par nowego wązkiego obuwia, trzy kostjumy trykotowe, kilka tuzinów koszul, stają łzy w oczach. Czuje się, biedaczka, taka mała, taka strasznie mała w zestawieniu z kobietą, która wróciła z Paryża i wie wszystko, co jest modne, najmodniejsze...

„W Paryżu—gnębi ją dalej ta, która wróciła — aktorki i nie aktorki pudrują się specjalnym pudrem (zapomniałam, jakiej marki, ale przywiozłam *sobie* ten puder), mają inny koloryt i inną charakteryzację, modne są inne materje, inne kapelusze, wszystko inne".

I jak tu sprawić wszystko inne, kiedy się tego innego nie widziało, a rzeczy kupionych w Paryżu, czy też po drodze w Wiedniu nie pokażą ci.

„W Nizzy — opowiada pan—jest inna pogoda i lepsza usługa w restauracji. Tam za swoje pieniądze człowiek może użyć. Tam panuje prawdziwa swoboda, nikt się nie krępuje".

Ludzie, którzy nie zajrzeli do Europy od dłuższego czasu, łowią te słowa, słuchają uważnie i poważnie, jak tam „za pięćdziesiąt franków dziennie żyje się po pańsku, za sto po królewsku, a za dwieście, to już wcale żyć nie można".

Podobno nawet wyjazd za granicę należy do największych „oszczędności", na jakie się zdobywają prawdziwi patrjoci. Żart paszportowy (wszyscy sądzą, że wiadomość, jakoby paszporty miały kosztować pięćset złotych, ewentualnie sto dolarów, to najlepszy żart karnawałowy Ministerstwa Skarbu), nie idzie nikomu w smak. A co będzie, gdy żart ten okaże się prawdą? Kogo będzie stać na takie oszczędności?

Smutne są refleksje pokarnawałowe. Nie zapowiada się nic interesującego, chyba—rewizje procesów, i nic przyjemnego, chyba — jakaś młoda gwiazda teatralna zabłyśnie na firmamencie garsoniery uczciwego, acz nie ubogiego młodzieńca—poczem uczyni spowiedź publiczną (ogromnie ciekawy, postny temat). Należy życie uprzyjemniać wedle możności i ponad miarę. Zdaje się nawet, że w poście organizuje się szereg odczytów naukowych, tudzież zajść politycznych, przewidywane są koncerty dobroczynne i *zwyżka akcji*.

Co więcej uczynić można, by rozerwać Warszawę.

H. Jel.

25-letni jubileusz pracy.

Dnia 2 lutego r. b. Zarząd i pracownicy firmy Józef Fraget obchodzili 25-letni jubileusz pracy kierownika wydziału, pana Stanisława Budzińskiego, na wspólnem koleżeńskiem zebraniu, urządzonem ku czci Jubilata.

P. Stanisław Budziński, wychowaniec Akademji Sztuk Pięknych w Krakowie, oraz Akademji Rządowej w Monachjum, uczeń Gersona i Matejki, mając wrodzony talent artystyczny, przez długi czas po



P. Stanisław Budziński

powrocie do kraju prowadził własną pracownię, a dzieła swoje wystawiał wielokrotnie w Zachęcie Sztuk Pięknych, będąc nagradzany za nie medalami i dyplomami. Od roku 1898 Jubilat poświęcił swój talent i wiedzę firmie Józef Fraget, przyczyniając się w niemałym stopniu do podniesienia poziomu artystycznego rodzimego przemysłu platerowniczego. Firma Fraget zawdzięcza Jubilatowi wiele bardzo cennych i artystycznych modeli. Słusznie więc w przemówieniach kolegów podniesiono powyższe zasługi Jubilata, podkreślając jednocześnie jego wielkie zalety jako pracownika i kolegi.

Zebranie koleżeńskie uświetniły swoją obecnością WP. Antonina Fraget, oraz księżna Marja Światopełk-Mirska, obecna właścicielka firmy, która w imieniu firmy wręczyła Jubilatowi gratyfikację jubileuszową. Upominek koleżeński, w postaci kompletu sztućca w stylu Ludwika XVI, pomysłu artystycznego samego Jubilata, wręczył Dyrektor firmy, prof. Jan Dmochowski, wraz ze słowami szczerego uznania dla Jego zasług, położonych przez lat 25 na powierzonem Mu stanowisku.

Po mile spędzonych chwilach, które pozostawiły po sobie niezatarte wspomnienia, zakończono uroczystość wzniesieniem toastu za zdrowie Jubilata, życząc Mu przytem powodzenia w Jego dalszej pracy na niwie artystycznej, żmudnej często ale wielce zaszczytnej.

Najważniejsze wypadki minionego tygodnia.

SEJM I SENAT.

Ochronę lokatorów uchwalił Sejm, zmieniając znacznie dotychczasową ustawę. Ale, jak się zdaje, ani właściciele domów ani „najemcy" nie są zbyt zachwyceni nowem brzmieniem ustawy.

Podatek od komornego w wysokości 20 procent będzie pobierany tylko przez rok 1924. Miał dużo przeciwników, ale ostatecznie interes państwowy zwyciężył.

Do zbadania sprawy żyrardowskiej powołano specjalną podkomisję sejmową. Jak się okazuje, wkłady rządowe w ten dobry interes wyniosły 2 i pół miljona franków szwajc., a otrzymano z powrotem tylko 21 tysięcy franków.

Postawienia b. ministra Kucharskiego przed sąd domaga się lewica, uważając, że on ponosi winę olbrzymich strat państwa w sprawie żyrardowskiej.

Senat uchwalił rezolucję, wzywającą rząd do dalszego obniżenia cen węgla w stosunku przedwojennym do cen zboża. Kopalnie mają za duże zyski.

Dyskusję nad polityką zagraniczną przeprowadziła komisja Senatu po wysłuchaniu sprawozdania ministra Zamoyskiego o konferencji państw bałtyckich oraz o Gdańsku. Sytuacja przedstawia się nie najgorzej.

RZĄD POLSKI.

Preliminarz budżetu państwowego na marzec zamyka się w wydatkach i dochodach cyfrą 94 miljonów złotych, bez deficytu. Sanacja skarbu na dobrej drodze.

Przymusowe ściąganie podatku majątkowego prowadzi rząd bardzo energicznie, z jak najlepszym rezultatem. Nareszcie leniwi płatnicy pojmą kosztem własnej skóry, że trzeba uczciwie wypełniać obowiązki wobec państwa.

Wojewodą śląskim zamianowany został T. Koncki, dotychczasowy kierownik województwa, bardzo energicznie pełniący swe obowiązki.

W hotelu Bristol odbył się bankiet na cześć Aleksandra Lednickiego. W bankiecie wzięło udział paruset wybitnych przedstawicieli inteligencji. Mowy wygłosili ks. arcybiskup Ropp, pp. Tugutt, Artur Śliwiński, rektor Łyskowski, Wacław Sieroszewski i inni.

SPRAWY POLSKIE.

Przeciw polakom na Śląsku Opolskim mnożą się szykany. Wiele osób aresztowano. Polskie organizacje robotnicze grożą odwetem za niesprawiedliwość.

Na Litwie kowieńskiej szerzy się sztucznie gwałtowna agitacja, by polaków nie dopuścić do portu w Kłajpedzie. Ten argument nie podziała chyba na Ligę Narodów.

POLITYKA ZAGRANICZNA.

Oświadczenie Hendersona o konieczności rewizji traktatu wersalskiego rozpętało burzę dyplomatyczną. Przesadne nadzieje niemieckie uspokoił rząd angielski stwierdzeniem, że bynajmniej nie podziela tej prywatnej opinji swego członka.

Między Poincarem a Mac Donaldem łączy się wymiana poglądów na temat uzgodnienia współpracy obu państw w rozwiązaniu zagadnień polityki zagranicznej. Wzajemna harmonja utrwala się.

Macedonja staje się znowu zarzewiem niepokojów, grożących zbrojnym konfliktem. Wzmożona akcja partyzantów, popierana przez rząd bułgarski, wywołała koncentrację wojsk jugosłowiańskich na granicy. Czuć proch w powietrzu.

Proces Hittlera i Ludendorfa o tworzeniu tajnych organizacji przewrotowych toczy się w Monachjum. Ludendorf wystąpił gwałtownie przeciw wpływom marksizmu żydów, oraz ultramontanistów i zaatakował nieparlamentarnie Watykan.

Austrja uznała rząd sowiecki i podejmuje normalne stosunki dyplomatyczne. Krok raczej bezinteresowny, bo w chwili obecnej nie ma sfery interesów w Rosji.

Wzory igrzysk i piramid wolnych.

Liczne nasze towarzystwa gimnastyczne z zadowoleniem przyjmą wiadomość, iż ukazał się podręcznik, dający „wzory igrzysk i piramid wolnych". Autorem jest znany pedagog p. Alfred Hamburger. Wzory te są oparte na doświadczeniu nabytem w „Sokole" lwowskim. Malowniczość piramid nie jest więc tylko czczym popisem, lecz wyrazem sprawności mięśni i umiejętności karnego współdziałania według komendy.

P. Hamburger w podręczniku swoim do każdego rysunku dodaje komendę. Ważna to bowiem rzecz rytmiczność w wykonywaniu ćwiczeń gimnastycznych.

Wysoce pożyteczny ten podręcznik gimnastyczny wydała „Książnica Polska".

Zasady arytmetyki politycznej.

Wyższe szkolnictwo handlowe w Polsce do niedawna nie posiadało wcale podręczników i źródeł pomocniczych pedagogicznych. Wielką pomoc w tym względzie okazała „Książnica Polska", wypuszczając na rynek całą serję książek. Do katalogu tego rodzaju wydawnictw przybywa obecnie podręcznik prof. Antoniego Pawłowskiego p. t. „Zasady arytmetyki politycznej." Podręcznik ten przyda się nietylko uczniom wyższych szkół handlowych. Okaże on wielką pomoc i rachmistrzom naszych towarzystw ubezpieczeniowych, bankowych.

Do podręcznika tego dodano bardzo cenne tablice procentu składanego.

KOBIETO, PUCHU MARNY!..

Małżeństwo dla szczęścia jest tem, czem giełda dla pieniędzy. Kilku na tem robi szalone majątki, większości prędzej czy później grozi kompletna ruina.

* * *

Rumieniec dziewczęcy bywa czasem kartą wizytową, czasem nekrologiem — niewinności.

* * *

Największa przyjaźń między kobietami ustaje, gdy zjawi się rywalizacja.

Lin.

Książki nadesłane do redakcji.

Wycinanki ludu polskiego: łowickie i kurpiowskie. XIV tablic wielobarwnych według oryginałów ze zbiorów tow. polskiej sztuki stosowanej. Tekst Seweryna Udzieli. Kraków. Skład główny muzeum przemysłowe.

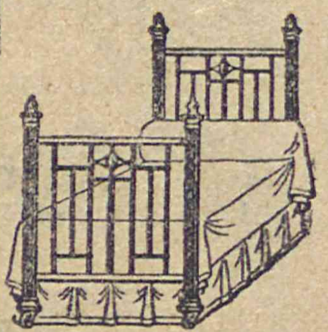
Przemysł, rzemiosło, sztuka. Zeszyt 3-4. Rocznik 3. Kraków, 1923 rok.

Towarzystwo Akcyjne Zakładów Wyrobów Metalowych

KONRAD, JARNUSZKIEWICZ i S-KA

WARSZAWA, UL. GRZYBOWSKA №25. TEL. №5-98

POLECA w WIELKIM WYBORZE



ŁÓŻKA METALOWE z MATERACAMI SPRĘŻYNOWYMI
— ULEPSZONYCH SYSTEMÓW ORAZ WŁOSIANYMI —
SZAFKI NOCNE i UMYWALNIE

URZĄDZENIA SZPITALI, SAL OPERACYJNYCH i GABINETÓW LEKARSKICH

FOTELE DLA CHORYCH — MEBLE OGRODOWE

DŹWIGNIKI I WÓZKI BAGAŻOWE RÓŻNYCH TYPÓW.

WĘGIEL I DRZEWO

WAGONOWO WPROST Z KOPALNI, DETALICZNIE Z DOSTAWĄ DO PIWNICY, ZA SOLIDNE WYKONĄNIE ZLECEŃ I WYSOKĄ DOBROĆ GWARANTUJEMY

„TANI WĘGIEL"

RACZYŃSKI I WOŹNIAK

TEL. 106-33

WILCZA 71 I EM. PLATER 4.

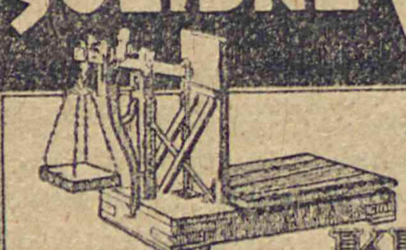


hanka

GÓRNOŚLĄSKA FABRYKA CZEKOLADY, KAKAO I CUKRÓW SP. AKC.

Siemianowice

SOLIDNE WAGI



FABRYKI WAG

ALFRED

KRZYKOWSKI

SP. Z O. P.

W WARSZAWIE

CHŁODNA 14 TEL. 239-11.

BIURO SPRZEDAŻY PIĘKNA 45 TEL. 40-85

TYLKO

KRASNA—CRÈME

GOI I USUWA CZERWONOŚĆ, PĘKNIĘCIA I SZORSTKOŚĆ SKÓRY, RĄK I TWARZY.

ŻĄDAĆ WSZĘDZIE.

K и C

TOWARZYSTWO HANDLU HERBATĄ

Żądać wszędzie

T-wo „HERBATA"

Marszakowska 125, tel. 69-37.

Jubileuszowe wydanie poezji Zdzisława Dębickiego.

1898—1923.

Dwadzieścia pięć lat minęło od chwili ogłoszenia pierwszego zbioru wierszy Zdzisława Dębickiego Gobelinowa szlachetność barwy zwróciła uwagę na pieśni te ciche, intymne, niemal szeptane Nawet miłość śpiewała swoje zachwyty, troski i olśnienia bez buńczucznej rozlewności. Ton wersalskiej galanterji stygmatyzował słowa śpiewne, wkradające się w serce Zdzisław Dębicki tradycji polskiej składał tu swoje powinne hołdy. Wzruszały go stare serwantki, portrety, pierścienie. Przedmioty te zachowały przecież duszę dawnych pokoleń. Dębicki w starych tych rzeczach czytał rodzinne runy, odgadywał tajemnice uczuć, zdobiące szlachetne czoło rycerskich dziadów i pradziadów.

Pieśni takie nie mogą nie przemawiać do ludzi o pewnym poziomie kultury; stawały się, jak zadumy, jak wspomnienia osobiste w głębin duszy wydostane. Któż bowiem nie weźmie za sentyment osobisty zwierzeń Z. Dębickiego o pierścieniu dziedzicznym? Paciorki słowa szepcą:

„Dziedziczny pierścień mam, w nim krwawy błyszczy rubin—
Tobie go tylko dam, w radosny dzień zaślubin.
Nosił go kiedyś dziad na palcu prawej ręki,
Pozostał na nim ślad kuli z pod Ostrołęki“..

Wierszy takich sentymentalnie wzruszających napisał Z. Dębicki bardzo wiele. W jubileuszowym zbiorze zamknął je poeta w cykle: „Kraj lat dziecinnych“, „Anno Domini“ i „Echa“. Pięknie brzmią też melodje miłosne komponowane z przeżyć serca. Mają w sobie śpiewność skrzypcowych sonat. Majestatyczne larga przeplatają się z rytmami płochliwego menueta. I strofa dźwięczy wtedy:

„Nawiedziły mnie we śnie margrabiny moje,
Na samotnych mych marzeń zstąpiły pokoje,
Te cudne rozkosznice zalotne i młode,
Abym rzadką ich piękność sławił i urodę.“

Na harfie poetyckiej Z. Dębickiego znajdą się i struny, głoszące chwałę żołnierzowi legendy i żołnierzowi wskrzeszonej Rzplitej. Doświadczenia wojny z wszystkiemi okropnościami okupacji niemieckiej i odwrotu wojsk rosyjskich znalazły w pieśniach tego poety plastyczny wyraz. Wiersz noszący symboliczną datę 14. VIII 1914 roku będzie najciekawszym z punktu widzenia wierzeń, jakie żywił Z. Dębicki w tym okresie. Powie on odezwie wielkiego Księcia Mikołaja:

„Drży ziemia nie twych wojsk stąpaniem,
Dudni nie twoich kopytami koni,
Nie twoich armat łańcuchami dzwoni,
Ale się budzą w niej śpiący rycerze.
I w jeden z nami łączą się dziś huf..
Nie do nas książę! Do tych duchów mów—
One ci za nas odkrzykną: „nie wierzę!“

Nie znaczy to wcale, iżby Z. Dębicki miał złudzenia co do kombatantów z innej strony. Jak skarga rozlegną się jego słowa:

„O miasto moje kochane!
Pruska to przemoc i siła
Twe bujne, tętniące życie
Żołdackim butem zdławiła...

Sentyment poety stanął jednak przy ułanie, którego grzebią w austrjackim mundurze. Niema w tem wyznania wiary poetyckiej, ale jest uczucie miłości dla rycerskiej tradycji.

Jubileuszowy wybór poezji Zdzisława Dębickiego poprzedził wstępem Adam Grzymała-Siedlecki. Wstęp ten jest pięknym hołdem długiej przyjaźni, jaka łączy jubilata z tym krytykiem. Dobrze wprowadza w intymność poetyckich marzeń twórcy „Pod banderą marzenia“...

Wybór ten powinien pokoleniu młodszemu dać obraz zasobów artystycznych Z. Dębickiego. Najmłodsza generacja nie zna bowiem tego pieśniarza w dostatecznej mierze. W ostatnie lata poeta ten więcej jest znany, jako krytyk literacki i publicysta. Będzie to więc dla wielu prawdziwą rewelacją.

F.

CENY ZA OGŁOSZENIA W ZŁOTYCH POLSKICH:

STRONA	1/1	1/2	1/4	1/8	1/16
I OKŁADKA	120.—	60.—	30.—	15.—	9.—
II „	90.—	45.—	23.—	12.—	6.—
III „	90.—	45.—	23.—	12.—	6.—
IV „	120.—	60.—	30.—	15.—	9.—
W tekście	180.—	90.—	45.—	24.—	13.—
Przed romansem	135.—	68.—	35.—	18.—	12.—

STRONA OPISOWA: Zlp. 180. —FOTOGR. i KLISZE na rach. KLIJENTA. Za wiersz wysok. 1 milimetra szerokości 1 szpalty: KRON. TOWARZ. i KOMUNIKATY za 1 m/m 30 groszy. PIERWSZA STRONA tekst za 1 m/m 60 groszy. Za terminowy druk ogłoszeń Admin. nie odpowiada. Rachunki płatne są w Mkp. podług kursu złotego polskiego dnia poprzedniego.

PRENUMERATĘ przyjmują:

W WARSZAWIE: Administracja „ŚWIATA"

SZPITALNA 12. Tel.: Administr. 504-00, Ekspedycja 47-25.

Konto czekowe P. K. O. № 3755.

Księgarnia Trzaska, Evert i Michalski Krak. Przedm. 13, (Hotel Europ.)
W Łodzi: Biuro dzien. ogł. „PROMIEŃ" Piotrkowska № 81.
księgarnia „Czytaj" Dzielna 2.

CENA PRENUMERATY za Luty: w Warszawie mies. Mk. 6.500.000 z odnoszeniem do domu 6.750.000 i na prowincji mies. 7.500.000. Zagranicą podwójnie. Numer pojedyńczy Mk. 1.800.000.

DRUK GALEWSKI I DAU WARSZAWA